№ 3. Warszawa, dnia 4 (16) Stycznia 1875 roku.



I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

KRONIKA ZAGRANICZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Historya kośćmi i skorupami pisana. — Kroniki w ziemi.— Wykopaliska. — Sala odczytów w ogrodach Mecenasa w Rzymie na Eskwilinie. — Obrazek. — Wschody stare Pantheonu. — Sala koncertowa p. Nouvelle w Londynie.— Sardou La Haine. — Mosenthala Syrena. — Trochę treści. — Feljeton. — Komedyjka Grossa. — Teatr niemiecki w Strassburgu i jego losy. — Improwizator Herrmann i improwizacye. — Drezno. — Cyrk Amerykański i szynczki śpiewające. — Knajpa i jej skutki.

(Dokończenie).

Być może iżeśmy się omylili przypuszczając posągi w wyżłobieniach, gdyż noszą one ślady malowania, jakichś godeł i scen pasterskich; na ścianach ten śliczny tynk stary, polerowany, twardy, jeszcze się dotąd utrzymał. Wystawcie sobie, łaskawe Czytelniczki, że z odrobiną imaginacyi można dojrzeć tu jeszcze cieniów Horacego deklamującego... Mecenasowi pod nos owo wytworne kadzidło. *Mecenas, atavis...* i t. d. Viogilego z Eneidą... *jubes renovare dolorem...* Owidyusza z Metamorfozami lub t. p. Co za przedmiot dla malarza! Ci starzy smakosze nasycają się muzykalnemi dźwięki pieśni poety, zadumani, rozmarzeni... ten poeta na estradzie rozogniony własnem natchnieniem i owi wyzwoleńcy w głębi z poztwieranemi usty, z gotowemi do oklasków dłońmi, które czekają tylko aż ostatnia głoska wiersza skona... Światło z góry przez purpurowe *velum* spływające... pół światła, pół cienia... Tło ciemno czerwone ścian, a wśród niego malowane pasterki unoszące się w powietrzu... Nie należałoby zapomnieć o amforach gdzieś w kątku... Gdybym umiał lepiej malować, a czas nie był tak drogim!

Komisya archeologiczna rzymska ze swych pamiętników, w których opis jest ogłoszony, kazała zrobić odbitkę osobną, z ośmią litografiami i fototypami tego *Auditoryum* Mecenasa... Leży ona właśnie przedemną...

Trochę dawniej, gdy ludzie niedorzeczną polityką mniej byli zajęci, odkrycie tego rodzaju jak sali w ogrodzie Mecenasa — ogromnego by narobiło hałasu, wielu ciekawych natychmiast by się puściło oczyma własnemi oglądać tę pustkę tylu uświęconą wspomnieniami — dziś — dziś, sekretarz komisyi pan Lauciani wątpi czy mu się owa odbitka rozprzeda. Nie podzielam jego obawy.

Około Pantheonu w Rzymie, który jak wiecie jest dziś kościołem i utrzymał się w tym stanie w jakim niegdyś był świątynią, odgrzebano też stare stopnie u wnijścia. Już dawniej za Ministerium (Ojca Św.) p. Jacobini odkrył był też wschody, ale je zasypano, teraz odnowiono je i pozostawią zapewne wyrestaurowane. Kopiąc zaś znaleziono kilka szacownych płaskorzeźb, które jak się zdaje, zdobić musiały ściany świątyni i są piękną robotą greckiego dłuta. Salę Mecenasa, bezpłatną dziś zastępują mnogie koncertowe i odczytowe, które wcale piękne przychody czynią. W Londynie nakładca dzieł muzykalnych Novello płaci rocznie za Albert Hall, mogąca objąć wprawdzie 10000 słuchaczów, pięć tysięcy funtów, t. j. trzydzieści kilka tysięcy rubli. Koncerta odbywają się codziennie ale tylko w czasie muzykalnego sezonu. Poniedziałek ballady (piosenki) Wtorek, kompozycye angielskich muzyków wyłącznie, Środa, muzyka klasyczno wokalna i instrumentalna. Czwartek, Oratoria. Piątek, szkoła nowa niemiecka (głównie Wagner). Sobota, muzyka taneczna, ballet... Orkiestra złożona z 90 członków, kieruje J. F. Barnett, w Wagnerowskich rzeczach Dannrinther. Soliści z całego Bożego świata, miejsca tak ułożone że i ubożsi mogą z koncertów korzystać. Anglija nie jest tak bardzo muzykalną, ale w stolicy której ludność przewyższa wiele małych księztw niemieckich zaludnienie znajdzie się zawsze dosyć ciekawych słuchaczów i różnorodnego tłumu, do wypełnienia sali. Wszystkie niemal dzienniki donosiły o powodzeniu na scenie w Paryżu, świeżo przedstawionego dramatu Wiktora Sardou „La Haine“ z tym dodatkiem, że największą zaletą sztuki jest ogromna ilość trupów padających ofiarą owej nienawiści: Sardou, który przedmiot swój wziął z dziejów włoskich, z czasów walk Gwelfów i Gibellinów, tłomaczy się teraz z niego i ciekawe czyni wyznanie, że we wszystkich swych kompozycyach zawsze na pierwszym i najwyższym względzie miał kobietę... którą szanuje i wielbi. Powiada, że z wyjątkiem pary amerykanek i rodziny Benoiton, z każdą niemal bohaterką swą mógłby się ożenić! Et ci est beaucoup dire! W Nienawiści zadaniem jest charakter kobiety, która śmiertelnie będąc obrażoną, doznawszy najboleśniejszej obelgi od mężczyzny, zdjęta jest później litością nad nim widząc go nieszczęśliwym, przebacza mu i przywiązuje się do niego. Na tym temacie i tle średniowiecznych włoskich miejskich waśni, przedstawia się Nienawiść Sardou, z wielką pompą i bardzo świetnym kolorytem.

W Berlinie przedstawiono niedawno także znakomitego pisarza dramatycznego, ale niemieckiego, nową komedyą pod tytułem *Syrena.* Z tytułu możnaby nie ledwie wnosić, iż bohaterka być musi jedną z tych niebezpiecznych zwodzicielek bezlitosnych, na których głos trzeba sobie heroicznie jak Ulines zatykać uszy. Uchowaj Boże! Jest to najniewinniejsza w świecie, dziecinnie naiwna panienka, bardzo zacna i miła, do której nazwanie Syreny przylgnęło przypadkowo. Pan Frydrych von Eggenburg zacny i szlachetny człowiek, będąc w Rzymie i studyując starożytności, w Villa Albani unosił się nad prześlicznym posągiem Syreny, gdy nagle usłyszał wesoły śmiech młodego dziewczęcia — obejrzał się i postrzegł — żywą Syrenę niezmiernie podobną do marmurowej. Utkwiła mu ona w pamięci i sercu. — Tymczasem

Rzym trzeba było porzucić, piękne dziewczę z oczów znikło i pan Fryderyk powróciwszy do prozaicznych Niemiec postanowił, niemając co lepszego do roboty, ożenić się. Ale tak sobie — bez przywiązania, bez serdecznego popędu, dla tego że obywatel niemiecki, przyzwoity człek, koniec końcem ożenić się powinien.

W chwili gdy się właśnie powoli i flegmatycznie, zaczyna już oświadczać pannie Jadwidze von Waltersdorf, córce poważnej pani prezydentowej, gdy już przedmowę do połowy wygłosił — daje się słyszeć w przedpokoju ten sam srebrny głosik Syreny, który go niegdyś w Rzymie zachwycił. Wstrzymuje się szczęściem, ogląda znowu i widzi wchodzącą naprzód niemłodą, mocno wysztafirowaną, zalotnie strojną, wdowę lat dojrzałych, panią Jenerałową von Wallsee, a za nią Syrenę w roli panny do towarzystwa. — Zowie się ona panną Elsą Jung. — Najszczęśliwiej skreślony jest właśnie charakter panny Syreny, wielce sympatyczny. — Komedyi brak prawie intrygi, węzła i zawikłań potrzebnych, aby sztuka czemś więcej jak trafną charakterystyką zająć mogła, Mosenthal sili się na stawienie baryer między tą parą, której w istocie nic do szczęśliwego połączenia nie przeszkadza. Jedyną sceną troszkę dramatyczniejszą jest ta, w której poufale spowiadających się sobie z życia i uczuć pana Fryderyka i Elsę, trzymających się za ręce, — schodzi pani Jenerałowa i oburzona okrutnie za to że ktoś w jej domu nie w niej kochać się może — wypędza nieszczęśliwą pannę do towarzystwa! Ale natychmiast zabiera ją ciotka pana Fryderyka, i dwa serca stworzone dla siebie zostają połączone. Rzecz jest z talentem napisana, osoby epizodycznie wchodzące bardzo trafnie z natury malowane — lecz w budowie brak tego kunsztu, jakim celują Francuzi. Wyznają to wszyscy że architektoniki dramatycznej od nich się uczyć potrzeba. *Fejleton*, komedyjka Pawła Gross przedstawiona w Wiedniu, prawie równie pierwotną budową się odznacza. Główną w niej rolę gra naturalnie — dziennikarz, to samo jak w Lindau'a *Powodzeniu*, pisarz dramatyczny. Literacki świat niemiecki potrosze się na scenę wysuwa i chciałby ludzi sobą zająć. Dotąd ogół mało z nim sympatyzuje lecz wielcy literaci sami sobie winni. Trudno jest przy najlepszych chęciach, współczucie nieść dla nich — szczególniej od ostatnich giełdowych przygód wiedeńskich, które poprzedziło przymierze dla literatury wcale nie zaszczytne i usługi spekulatorom — w których i feljetony i dowcip i nauka po troszę — (za pieniądze) udział miały, — pisarze musieli zejść tak nizko jak owi gründerowie z któremi byli w spółce.

Po zajęciu Strassburga przez Niemców, postarano się w tem niby niemieckiem mieście, wszystko uczynić niemieckiem; uniwersytet, szkoły, nareście i teatr. Rząd, który w nim widział propagandę języka i idei, poświęcił na podtrzymanie sceny 176000 marków (nowa rachuba). Pomimo to, scena niemiecka trudno aby się tu ostać mogła, bo nikt prawie w teatrze nie bywa. Ludność miejscowa wcale do niego nie chodzi, a urzędników niemieckich tak jest mało, iż zaledwie gdzie nie gdzie kupka ich na próżnych ławkach zasiada... Ratując się wniesiono teraz ażeby utrzymać choć Operę niemiecką, a komedyę przywrócić w języku francuzkim. Spodziewają się tym sposobem teatr zapełnić, gdyż inaczej i podwójna summa na utrzymanie go nie starczy.

Oprócz wielu i bardzo dobrych deklamatorów, objeżdżających Niemcy, i z pamięci, często całe dramata Szekspira recytujących przed publicznością, zajmuje tu powszechnie talentem niezwykłym, improwizator Herrmann. Jest to rzeczywiście zdumiewającej żywości umysłu, wyobraźni i łatwości słowa poeta, który umie wdzięczną formą, przyodziewać ody, sonety, sycylianki, akrostychy, na podane mu temata. Wielką pomocą jest dlań oczytanie, nauka, zapas wiadomości, spiżarnia pamięciowa dobrze napełniona, z której dobywa jak konserwy do kuchni gotowy materyał i przyprawiwszy go zręcznie, podaje na stół gorący. Trudno szukać tam natchnienia, gdzie ono z natury rzeczy istnieć nie może, lecz *zręczność* wielka, a co najdziwniejsza, forma, t. j. przyprawa, smaczna i wdzięczna. Herrmann w chwili gdy to piszemy bawi Lipskich komisantów sklepowych, którzy się nad nim unoszą. W Dreznie mamy za to koncertów bez miary — między innemi dwa Joachima, na które biletów zabrakło — co jest tu niesłychanem — i największy w świecie Cyrk Amerykański Myers'a, ze słoniami, z truppą wynoszącą kilkaset osób, nie wiem ile koni i różnych ciekawości. Osły także mają się w nim intelligencyą i zręcznością odznaczać. Myers własnym kosztem wybudował cyrk, mówią że bardzo piękny, i na nim się popisuje codziennie. Czy mu się to w Dreznie opłaci, godzi się powątpiewać... Oprócz tego namnożyło się mnóstwo Café chantans najlichszego rodzaju, i pół teatrzyków, gdzie jednego wieczoru tańcują na linie i komedye grają, atleci i obrazy plastyczne. Śpiewki i popisy muzykalne bawią niewymyślną publiczność. Sztuka na tem ani smak nie zyskują, lecz ubodzy się bawią i spędzają przy kuflu piwa i cygarach wieczór nie potrzebując jak gdzieindziej, piwa i dymu łaknąć, a bez tych się im obejść trudno. Ażeby przywabić publiczność na coś poważniejszego, próbowano grać klassyczne dramata, przy zniżonych znacznie cenach, lecz cóż, gdy bez piwa i dymu! Kiedyś może powiemy wam, jak dziwną, jak szkodliwą gra rolę knajpa, piwiarnia, po prostu szynczek w życiu niemieckiego ludu! Jest on na drodze dobrobytu i cywilizacyi zaporą, odbiera urok domowi, rodzinne związki rozprzęga... cóż, gdy się stał nałogiem? lecz o tem innym razem.

POTĘGI.

Znam dobrze ja — potęgę świata —
Oh! tyran to! lud chyli czoła,
I ciśnie się, pod wozu koła,
On wielu z nich, miażdży, przygniata,
Nie słucha skarg, i nie dba o nie,
Podległe mu, duch, ciało, żądze. —
I niezachwiany na swoim tronie!
A miano jego — Pieniądze.

Znam jednak ja, siłę nad siły,
Co walczyć śmie, nawet z tym wrogiem —
Nie cofnie się przed żadnym progiem,
Choćby strzał sto, w nią ugodziły,
Potłumi jęk, podwoi ciosy,
Ból i trud dlań, to są podniety,
Zwycięży ziemię, piekło, niebiosy!
Ta moc — to miłość kobiety.

Marya Szeliga.

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

(Ciąg dalszy.)

Pani N. słuchała uważnie.

Przy biciu szafy która się przecie na Julka nie rzuciła, odebrał on dwie szkodliwe nauki: pierwszą, fałszywe mniemanie iż sprzęt, a nie on zawinił, drugie, iż doznawszy przykrości, gniewać się należy na powód przykrość sprawujący. Pierwsze paczy jego sąd, drugie wpaja weń fałszywe pojęcie obowiązku.

— Ale jakże sobie z tak małem począć dzieckiem?

— Pierwsze wrażenia jakie dziecko odbiera, są najsilniejsze i dla tego jeźli kiedy, to najbardziej w pierwszych chwilach jego życia baczyć należy, aby słyszał i widział to tylko co dobre i słuszne. Dwie drogi zatem były tu właściwe; albo nie zwracać uwagi na krzyk Janka, i czemkolwiek zabawiwszy, uspokoić go albo własną ręką dotknąć się szafy mówiąc: ,,Niania nie płaczę.“ A w miarę jak dziecię pojmować będzie wytłomaczyć mu, że Nianię ręka nie boli, bo lekko i uważnie się dotknęła, albo że Niania nie płacze choć ją ręka boli, bo płacz bólu nie zmniejsza.

Wierzaj mi dodałam, widząc że pani N. słucha mnie chętnie, gdybyśmy rozsądnie z dziećmi od urodzenia ich postępowali, nie tylko mniej trudu kosztowałoby nas wychowanie dzieci naszych, lecz nadto mniej miałyby one wad, bo chociaż nie twierdzę z Russem iż dziecię doskonałem na świat przychodzi, a starsi je psują, śmiało twierdzić mogę, że same nieraz pączymy sąd dziecka, rozwijamy w niem bądź niewłaściwem postępowaniem i lekkomyślnemi słowy, wiele złych skłonności i nawyknień.

Masz słuszność odparła pani N. Lecz powiedz mi gdzie znajdę wzorową piastunkę, któraby to zrozumiała i swe postępowanie do tego zastosowała?

— Naprzód ci powiem że takiej nie znajdziesz.

Matki też nie mogą poprzestawać na karmieniu dzieci własną piersią, one je powinny same wypiastować. W trudzie fizycznym noszenia dziecka, nocnego czuwania wyręczy je piastunka, duchowo same wciąż czuwać muszą.

— A gdzież znajdą czas na inne obowiązki, rodzinne i towarzyskie, na rozrywkę wreszcie?

— Rozrywki których po za domem szukać potrzeba, nie istnieją dla matki drobnych dzieci. Dziwacznem to się wydać może, zdaje się raczej, że obecność matki potrzebniejsza gdy dzieci dorastają, gdy słowa jej rozumieją, a przecież tak nie jest.

Wtedy znajdzie matka osoby poświęcające się wychowaniu, które ją w części wyręczą, osoby która by się podjęła trudu piastowania dziecka, a przytem dość była ukształconą by właściwie z niem postępować, nie masz. Na to potrzeba miłości matki. Wielkiego to bowiem wymaga poświęcenia się i baczenia na siebie, na swe słowa, ruchy, czyny, aby nie dać dziecku przykładu gniewu, niecierpliwości, wad różnych i słabości, a niemniej nie stracić wesołości, swobody.

Inne obowiązki kobiety nie ucierpią na tem piastowaniu przez nią dziecka, boć na to nie potrzeba aby matka dziecka nie odstępowała, lecz aby była w jego pobliżu, czuwając nad niem bez przerwy, wśród innych najrozmaitszych zajęć, tak, aby osoby bezpośrednio je pilnujące,ani na chwilę zaniedbać się nie mogły, wciąż czując zwróconą na się czujną jej uwagę. W ten sposób zapewni ona dziecku nieprzerwane staranie zdrowiu jego niezbędnie potrzebne, i ustrzeże go od wrażeń zgubnych, jakie przynosi zwykle ostre i burzliwe zaprowadzenie na nowo porządku, rozchwianego w czasie dłuższej matki nieobecności.

Od piastunek wymagać należy, czystości wymyślnej, czujności ciągłej, posłuszeństwa raz wytłomaczonym przepisom hygieny i obejścia się z dzieckiem, spokoju w obec dziecka tak względem niego, jak w obec innych sług, lecz chcąc mieć prawo wymagania tego, należy im zapewnić codzień kilka godzin zupełnego spoczynku, bo nie masz cierpliwości, którąby przetrwała pewien stopień znużenia, macierzyńska nawet się zużywa. Nadto nie dobrze jest żądać od piastunki, ustawicznego noszenia i huśtania, pozostawianie dziecka na poduszkach lub na kobiercu na ziemi po-

łożonych wśród zabawek nieszkodliwych, zdrowem jest dla niego i pożytecznem, bo je wcześnie uczy wystarczania sobie i ulgę przynoszącem piastunce.

W godzinach odpoczynku piastunki, może matka i powinna wyłącznie i zupełnie dzieckiem się zająć; w nich ma się mu ona oddać z takiem sercem z taką wesołością by te chwile były dla dziecka najmilszemi dnia chwilami, by ich pragnęło, tęskniło do nich. W tych to godzinach nader wcześnie może matka zacząć dodatnie wychowanie dziecka.

Do lat dwóch wychowanie zależy niemal wyłącznie na oporze samowoli dziecka, na wzwyczajaniu go do pewnej reguły, do poznawania, że nie może robić tego wszystkiego co mu się zachciewa, że na jego żądania o tyle tylko zwróconą będzie uwaga, o tyle tylko zadość im będzie czynionem, o ile słusznemi będą.

Dla tego nie należy gdy dziecię zakrzyczy, biedz doń natychmiast, kołysać je, brać na ręce i huśtać, dość jest odezwać się, dość by dziecię sądząc iż jest same nie nastraszyło się samotności, głosem do spokoju je zachęcać. Bardzo wcześnie można dziecię odzwyczajać od krzyków bez przyczyny, okazując się chłodną i milczącą gdy wzywa krzykiem uporczywym, wesołą i pieszczotliwą gdy spokojnie się budzi. Wiem jak ten spokój jest trudnym, jak serce Matki drży na każdy krzyk dziecka, jak w każdym upatruje objaw trwożący cierpienia, jak wiele dałaby by je widzieć spokojnem, lecz jest on równie zbawiennym jak trudnym.

Tem mniej można dziecku dawać wszystko, co mu się zachce, nieść je gdzie mu się przywidzi; wola Matki musi wcześnie ograniczać jego wolę, ale od pierwszej chwili winna ona być zarówno oględną jak stanowczą, jeżeli ma być skuteczną i nosić na sobie cechy nieosobistego kaprysu osoby silniejszej, lecz echa i powtórzenia głosu Boga,sumienia i rozsądku.

Matka daje dowody woli oględnej, gdy wzbrania tego tylko co w istocie wzbronionem być musi, bądź dla tego że jest złe, samo w sobie, np. kłamstwa; lub dla tego że może być szkodliwem zawsze lub w danych okolicznościach. Zbliżanie się do wody np. ognia, branie do rąk przedmiotów kruchych,musi być wzbronionem dzieciom chociaż jest dozwolonem starszym, gdyż ich nieuwaga mogłaby sprowadzić złe następstwa.

Przeciwnie niszczy ona i podkopuje wpływ swój ilekroć w chwili złego humoru, lub rozdraźnienia, zabrania dziecku czynności, której mu już nieraz pozwalała i jeszcze nieraz pozwoli zapewne.

Wolą stałą jest obdarzona matka, która raz coś wzbroniwszy, dla żadnych względów nie cofa swego postanowienia: bez tych dwóch cech wola jest bezsilną. Nieoględna przybiera barwę zachcianki i nie budzi uszanowania: słaba i chwiejna przestaje być wolą i pobudza dziecię do usiłowań ciągłych ku jej przełamaniu, bądź wybuchami gniewu, oporem, płaczem natrętnym, bądź pozornem poddaniem się i pochlebstwem. Niecierpliwość i brak stałej woli u wychowujących najwięcej wad charakteru i najtrudniejsze z nich budzi do zwalczenia u wychowańców, a nie masz prawie piastunek któreby niemi nie grzeszyły i nie ma matki coby niemi wpływ swój nie osłabiała.

W godzinach które matka wyłącznie swemu malutkiemu dziecku poświęca, działa nań dodatnio. Mając przy sobie obrazek, kwiatek, cacko jakie, jakikolwiek zresztą przedmiot, winna je dziecku nazwać, opisać, dodać jaką stosowną bajeczkę króciuchną, najprostszą, śmieszną a nauczającą zarazem, byle nie przesadzać z początku, nie nagromadzać naraz za wiele obrazków lub przedmiotów, nie opowiadać za wiele, bo wtedy dziecię i nie pamięta rzeczy widzianych i słyszanych, i przesyca się wrażeniami, szuka, żąda coraz nowych, aż wreszcie go nic nie bawi, ani zajmuje. Malutkie też dzieci należy już wtedy zachęcać do zajęcia zwłaszcza że lubią to one, rozbudza to ich uwagę, można im dać do wybierania i składania osobno guzików różnokolorowych lub grochu pomieszanego z orzechami, lub różnobarwnych i różnokształtnych papierków i t. d.

Wreszcie jest to chwila rozmowy o Bogu, tu znowu matka bierze do ręki obrazki stosowne i pokazując je, opowiada: o Jezusie maleńkim mamie swej posłusznym, o Jezusie maleńkim który tak kochał ludzi że dał się zabić i męczyć, o tem że dziecię grzeczne pociesza biednego Jezusa. Historya Święta, Ewangelia, dają obfity wątek do podobnych opowiadań.

Godziż się mogąc dziecko ochronić od tylu wrażeń rozbudzających jego złe skłonności, nagiąć je do karności w wieku w którym go uległość nic nie kosztuje, obudzać jego umysł w kształcie najprostszych opowiadań, siać w jego serce ziarno prawd najwyższych godziż się to zaniedbać, dla rozrywki wątpliwej po za domem? Możnaż powiedzieć że piastowanie dziecka w pierwszych jego latach dzieciństwa, można powierzyć piastunkom i że się ono do starań fizycznych ogranicza?

Pani N. na moją przydługą mowę odpowiedziała tylko uściskiem ręki.

Koniec części pierwszej.

STRACONY,

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA).

NOWELLA

Elizy Orzeszkowej.

(Ciąg dalszy).

Kiedym przestał mówić milczał jeszcze chwilę i oddychał prędko. Potem uczynił ręką gest gniewu i zniechęcenia. Pal ich djabeł! zawołał rubasznie, tych wszystkich mądrych ludzi którzy tak dobrze trzymają w garści sznury od swych huśtawek! Mnie tej mądrości nikt nie nauczył! Leciałem panie gdzie wiatr niósł i spadłem na złamanie karku!

Wyrazy jego tchnęły grubijańskim obyczajem miejsc w których pędził niezajętą, wrażeń i ruchu spragnioną młodość swą, lecz jakże wielką wypowiadał niemi prawdę! Nie posiadł, nie dano mu wielkiej nauki trzymania w silnej dłoni wodzy życia i czynów, leciał tam gdzie niósł go wicher nieobuzdanych niczem i ku żadnemu wyraźnemu celowi nie skierowanych namiętności!

— Zaciągałem długi; mówił dalej, żydzi, officialiści i towarzysze zabaw moich u Burakiewicza pożyczali mi pieniędzy pewni że zwrócone im one zostaną przez mego Ojca. Ukrywało się to jakoś z rok czy więcej ale potem Ojciec dowiedział się o tem, długi zapłacił ale krzyku na mnie wielkiego narobił. Pół dnia gadał mi o tem że mu wstyd czynię, że jestem wyrodnem dzieckiem, głupiem, łotrem, że odtąd ani grosza już nie zapłaci nikomu jeźlibym jeszcze u kogo pożyczył, że wyrzecze się mnie, wydziedziczy, w gazetach mię ogłosi.

— I powiedziawszy to wszystko, przerwałem, co Ojciec twój uczynił?

— A cóż miał czynić? odrzekł. Zjechało się tego dnia wielu sąsiadów, pojechali do lasu na polowanie; potem wróciwszy całą noc jedli, pili i w preferansa grali.

— A Matka? zapytałem, pewno płakała dowiedziawszy się o złem twojem postępowaniu i nauczała cię co masz czynić dalej?

— Matka! rzekł, Matki nie było w domu.

Sceny z Ojcem powtórzyły się parę razy, nie obudzały jednak wewnętrznego szatana, który młodego chłopaka gnał po za rodzicielskie ściany napełnione nudą i snem, przerywanemi tylko odgłosami trąbki myśliwskiej, brzękiem talerzy albo... kłótnią. Julek kłóci się w ciąż z najstarszą siostrą Franią, Emcia kłóci się z Julkiem, z Jadwisią i z Mamą bo zła że za mąż nie idzie: Mama ile razy do domu przyjedzie kłóci się z Ojcem, z Femcią i ze sługami. Stryj mój i synowie jego rzadko przyjeżdżali do nas, bo u nich tam podobno inne życie i takie jak nasze bardzo im się nie podobało. A komu by tam ono podobać się mogło. Ja rok temu zupełnie przeniosłem się do miasteczka. U Burakiewicza przestałem bywać bo było mi tam już za drogo a przytem odzienie darło się i wstyd mię brał pokazywać się znajomym ojca i brata z dziurami na łokciach...

— Gdzież przez cały ten czas mieszkałeś?

— U wdowy Dzięddzierskiej.

— Któż to jest ta Dzięddzierska?

Spuścił oczy i zawahał się przez chwilę z odpowiedzią.

— To właścicielka tego handlu trunkami w którym byłem tego wieczora kiedy... kiedy...

Mieszkał tedy u właścicielki zakładu nie wiele różniącego się z prostym szynkiem.

Postępowałem dalej w badaniu mem.

— A rodzice twoi? rzekłem, stryj, bracia rodzeni i stryjeczni, czy nie przyjeżdżali do miasteczka, nie starali się namówić cię abyś wrócił do domu i prowadził się lepiej?

— Stryj nie przyjeżdżał wcale i mówił wszystkim że się mnie wstydzi i ani wiedzieć o mnie nie chce, Ojciec był parę razy w miasteczku za interesami i krzyczał na mnie, ale nie wiele już to mię obchodziło...

— Dla czegoż nie wiele cię to obchodziło?

— Ej proszę pana, alboż to on co lepszego robi jak ja robiłem?

— I nie pojechałeś z Ojcem do domu?

— Owszem, raz pojechałem ale nie mogłem dłużej w domu wytrzymać jak trzy dni. Ojciec mię łajał, Julek mi dokuczał, sługom nawet wszystkim kazali aby naśmiewali się ze mnie. Przytem djabelna tam nuda.

— A Matka? zapytałem.

— Matki nie było w domu.

— Więc wróciłeś znowu do miasteczka?

— Wróciłem. Koni mi nie dawali, poszedłem pieszo... od tego czasu nikt już z nich nie przyjeżdżał ani do mnie ani po mnie.

— Z czegoż więc żyłeś?

— At rzekł, różnie! Dzięddzierska karmiła mię darmo bo spodziewała się że jej to kiedyś z lichwą wrócę... w odzieniu chodziłem podartem... grywałem u Dzięddzierskiej w billard i w karty i wygrywałem czasem...

Wpatrywałem się w niego bacznie i zadałem mu jedno z najważniejszych pytań jakie do zadania mu miałem.

— Zkąd miałeś te pieniądze które rewizya śledcza znalazła przy tobie, skoro nie wziąłeś ich z kieszeni tego człowieka o którym wiesz.

— Miałem je ze sprzedaży medaljonu który nosiłem wprzódy przy zegarku, a potem chowałem długo przy sobie myśląc, że sprzedam go kiedyś i pójdę w świat...

— Po co?

— Sam nie wiem. Do jakiegokolwiek bardzo wielkiego miasta gdzie by mię nikt nie znał.

— Wstydziłeś się więc czasem swego położenia?

— No, rzekł, alboż to człowiek z kamienia czy z miedzi?

Zwróciłem go do głównego przedmiotu rozmowy.

— Komu i kiedy przedałeś medalijon? Zapytałem.

— Dzięrdzierskiej panie, odpowiedział bez chwili wahania na kilka godzin przed tym przeklętym wieczorem. Nazajutrz miałem nająć furmankę, pojechać do stacyi kolei żelaznej i kupić sobie za te pieniądze bilet na drogę... sam jeszcze nie wiedziałem dobrze do Warszawy czy do Petersburga. Dzięrdzierska zaparła się tego że nabyła medalijon bo wart on był cztery razy więcej niż to co mi za niego dała. Ten... ten człowiek zresztą, panie, był jej bratem.

Popatrzyłem mu w oczy badawczo, głęboko i ujrzałem że mówił prawdę. Wyraz spojrzenia jego postawa, głos, wyrażały bezgraniczne ku mnie zaufanie.

Jestem pewny że gdyby chciał nawet nie mógłby wtedy nic ukryć przede mną. Rozrzewniony był, przygnębiony, przerażony a we mnie widział jedynego człowieka który przybywał ku niemu z pomocą i pociechą. Jednę jeszcze próbę zadałem przeciw prawdziwości słów jego.

— A cóż, rzekłem, stać się mogło z temi pieniędzmi które widziano u szulera na kwandrans przed wypadkiem, a których przy zwłokach jego nie znaleziono?

— Ach panie! zawołał z uniesieniem, *oni* je zabrali! *oni* to niezawodnie zabrali mu je znalazłszy go nieżywym! Gdybyś pan wiedział jacy to ludzie! O! gdybym ja ich znał tak jak ich poznałem myśląc o nich teraz od kilku miesięcy... uciekłbym był od nich panie, nakoniec świata! Mój Boże! mój Boże! jakiż dyabeł przyprowadził mię do tych ludzi i zrobił mię ich towarzyszem! Och, dola moja dola! czemu ja od nich nie uciekał wprzódy! Oni panie od trupa odebrali pieniądze i powiedzieli żem ja to uczynił!..

Mogłem sądzić że krew wytryśnie mu ze skroni tak od wstydu i grozy nabrzmiały mu żyły, takim krwawym rumieńcem zalało się czoło jego. Ukrył je w dłoniach i siedząc tak z pochyloną głową, w postawie skruszonej i złamanej, opowiedział mi cichym przerywanym głosem że brata Dzięrdzierskiej widział owego wieczora pierwszy raz w życiu, że zaproszony przez niego do wspólnej zabawy począł z nim grać w karty, że przegrał już parę rubli gdy spostrzegł że był ogrywany fałszowanemi kartami. Zerwał się wtedy od stołu przy którym grali, rozdarł i rozrzucił po izbie karty i nazwał brata Dzięrdzierskiej podłym oszustem.

Ten po kilku chwilach kłótni podniósł rękę i uderzył go w policzek. Zrobiło mi się ciemno w oczach mówił więzień, w uszach mi zaszumiało... nie wiedziałem dobrze co czyniłem, ale podniosłem laskę którą trzymałem w ręku, bo miałem już wychodzić z przeklętego tego domu i uderzyłem nią człowieka tego nie widząc nawet że uderzam go w głowę... Silny jestem panie... bardzo na moją niedolę silny... musiałem uderzyć mocno i w złe miejsce i stało się nieszczęście.

Umilkł i utkwił w ziemi wzrok w tej chwili ponury. Przez długie kilka minut milczeliśmy obaj. Jasno jak na dłoni widziałem teraz dzieje człowieka który siedział przedemną w więziennej sukmanie, najgłębszą naturę jego, psychiczny proces który odbył się w jego wnętrzu, najbliższe a jednak najmniej dla ogółu widzialne źródło błądzenia jego i występku, niedoli i zguby. To dziecię zamożnego szlacheckiego dworu, otrzymało na drogę życia mniejszą sumę świata jak ta, którą ubodzy wyrobnicy czują się częstokroć w obowiązku obdarzać swych synów.

Fizyologiczne i psychiczne właściwości istoty jego jednostajnie były zapomnianemi i zaniedbanemi. Z jednej strony wybujał on nakształt dziko wzrosłej rośliny o sokach gorących jak lawa wulkanu, z drugiej strony pozostał dziecięciem pozbawionem świadomości dróg, obowiązków, dźwigni, podpór, wspaniałych szczytów i niebezpiecznych wądołów życia.

Nieuwzględniono w nim indywidualnych odrębności i ukształtowanie go, pozostawiono tak jak innych trafowi sądząc, że traf ukształtuje go tak, jak najpospoliciej kształtował innych. On tymczasem był samym sobą, i nie mógł przyrość do tego, żyć tem do czego przyrastali, czem żywili się inni.

Jak ptak ze spętanemi skrzydły po klatce, rzucał się on i targał śród ciasnej, widzialnej mu przestrzeni.

Rozszerzyć ją sobie nie mógł, bo wszystko w nim było niesforne i niejasne; napełniały go namiętności i żądze, ale on ich nie rozumiał, pracowały w nim pierwotne instynkta, ale on znaczenia ich nie znał, przychodziły doń niekiedy wyższe pragnienia i szlachetne tęsknoty, ale on nie wiedział ku czemu je skierować. Czuł tylko, że był w niezgodzie z tem, co go otaczało, że cierpiał i lekarstwa na cierpienie swe szukał tam, kędy je dojrzał. Innego nie dojrzał, bo rozum jego i wola przebywały w ciasnej ciemnicy.

Ostateczna katastrofa jakiej uległ była tu, już tylko ścisłą konsekwencyą wszystkiego co ją poprzedziło.

Każdy człowiek żyjący tak jak on, żyć może nie popełniwszy zbrodni tak jak może ją popełnić. Kula staczająca się z pochyłości, może nie wpaść w przepaść tak jak może w nią wpaść. Zależy to już wyłącznie od wypadku, od tego czy śród drogi którą przebywa, znajduje się rozdół albo się nie znajduje, jeźli jednak znajduje się, stanąć nad krawędzią jego ona nie może, i niesiona siłą rozpędu, musi być posłuszną przypadłościom drogi, którą przebywać zaczęła. Genealogija zbrodni młodego Kalińskiego, ułożyła się w mej myśli porządkiem następującym: tam gdzie jest natura ognista, żądz i namiętności pełna a nie ma woli, rozumu i czynnej działalności ku dobrze określonym skierowanej celom, tam musi być życie burzliwe, niesforne i nierządne, gdzie życie jest nieporządne, muszą być orgije, gdzie są orgije, muszą być spory i kłótnie, a gdzie są kłótnie zabójstwo być może. Gdyby laska młodego chłopca, nie miała na sobie żelaznego nagłówka, wypadek cały byłby tylko karczemną burdą, nie ten przecież kawał metalu spowodował zbrodnią ale nastrój, miejsce i towarzystwo umożebniające, z konieczności niejako wywołujące burdę.

Podniosłem oczy i spotkałem się z utkwionem we mnie spojrzeniem więźnia. Spojrzenie to jak i cała twarz jego, posiadały wyraz jakiego nie spostrzegłem w nich wprzódy. Była w nim dziwna łagodność, rodzaj rzewnej nieledwie czułości.

— Jaki pan jesteś dobry! wymówił z cicha, jak mi dobrze, że zwierzyłem się panu, że zrzuciłem z serca ten kamień rozpalony, który na niem leżał, odkąd po raz pierwszy skłamałem przed sądem. Jestem pewny, czuję że pan mi źle nie życzysz...

Więcej niż kiedy pojąłem w tej chwili, że wszystkie słowa jakie słyszałem o węźle wiążącym ludzi z ludźmi, najmniej choćby znanemi i najsrożej występnemi, nie są czczym sentymentalizmem ani próżnym sensu frazesem. Uczułem w sobie drgnienie braterskiej litości, nad tem nieszczęsnem, zgubionem dzieckiem.

Pochyliłem się ku niemu i spytałem go łagodnie.

— Powiedz mi, czy nikt nigdy nie mówił ci o wielkich obowiązkach jakie człowiek spełnić winien na ziemi, o potrzebie panowania nad sobą, o konieczności pracy, o czystości myśli, rąk i sumienia? Czy nikt ci o tem nie mówił nigdy?

Patrzał na mnie oczami które czułość i łagodność uczyniły w tej chwili dziwnie spokojnemi i przezroczystemi.

— Nikt, odpowiedział z cicha.

— I nikogo, pytałem, nikogo nie kochałeś tak bardzo, tak silnie aby miłość ta ustrzegła cię od złego, ani ojca, ani matki, ani brata ni siostr?

Wstrząsnął przecząco głową i rzekł — Nikogo!

Powstałem z miejsca czując że w oku mojem łza żalu pali się i wysycha w ogniu oburzenia.

Późno już było. Dozorca parę razy zajrzał do izby. O zapadającym zmroku musiano zamykać tiurmę.

Pożegnałem młodego więźnia a gdy szedłem bramą ku wrotom otwierającym się na ulicę miasta, widziałem jak stojąc w drzwiach parlatoryum ścigał mię spojrzeniem.

Los młodego Kalińskiego roztrzygać się miał na posiedzeniu sądowem za dni już ośm czy dziesięć, a ja nie mogłem utworzyć stanowczego planu obrony więźnia którego jednak postać i przeznaczenie tkwiły wciąż w mej pamięci. Była to jednak z najbrudniejszych praktyk jakie spotkałem kiedykolwiek w ciągu niezbyt w prawdzie długiej jeszcze mej karyery. Że był on sprawcą zbrodni o którą go obwiniano, o tem w obec własnego wyznania jego wątpić nie mogłem, wyznanie to jednak musiało pozostać tajemnicą z której przed sądem nie wolno mi było czynić użytku żadnego. Trwając przecież przy zaprzeczaniu faktu, usunąć nie mogłem od przestępcy dowodów świadczących jasno o dopełnionej przez niego winie, tylko że wina daleko sroższą i groźniejszą dlań przybierała postać, niżby to miało miejsce gdyby cała historya przedstawioną być mogła w istotnem jej świetle. Prawo karne ogromną czyni różnicę pomiędzy zabójstwem dokonanem w przystępie gniewu lub w celu obrony osobistej a takiem które dopełnionem zostało z zamiarem rabunku i kradzieży. W istocie rzeczy Kaliński popełnił zbrodnię w chwili bezprzytomnego prawie uniesienia i odpierając zadawane mu przez przeciwnika razy, ale pieniądze znalezione przy nim a ilością swą odpowiadające tym które widziano przed tem u szulera nadawały jej pozór taki, który musiał spowodować dlań karę najcięższą. Moralne znaczenie występku zmieniało się też ogromnie, według pierwszych lub drugich pobudek jakim przypisać go miano. Gdyby można udowodnić nieodparcie, że Kaliński znalezionych przy nim pieniędzy nie znalazł przy zwłokach swej ofiary, ale miał je zkądinąd, miara wstydu i hańby zmniejszoną by dlań była tak jak surowość i trwanie pokuty. Tu jednak zachodziły trudności. Dowieść że zabity człowiek używał do gry fałszowanych kart, które właśnie wznieciły spór tak fatalnie zakończony, nie było najmniejszego sposobu: wszyscy bowiem świadczący w sprawie, najmocniej interesowani byli w tem, aby zakrywać brudne i występne rzeczy, dziejące się w miejscu w którem przebywali.

Gospodyni zakładu była siostrą zabitego, goście jej jego przyjaciółmi i towarzyszami. Zabłąkany wśród mało miasteczkowego motłochu syn szlacheckiego dworu, był dla nich przedmiotem wyzyskiwania lub rachuby zasadzającej się na spodziewanem jego dziedzictwie. Był on w tem gnieździe oszustów ptakiem obcym, na którego rzucali oni ślinę i kamienie dla własnej obrony, przez skrytą może zawiść, ze zjadliwą radością.

Położenie moje było bardzo trudnem. Nie mogłem nie powinienem był biernie zgodzić się z tem, aby człowiek którego obronę powierzało mi prawo, sądzonym był za występek całkiem innej natury niż ten, który popełnił istotnie. Jedyny przecież dowód mogący odsłonić a przynajmniej znacznie dopomódz do odsłonięcia prawdy, spoczywał w rękach kobiety bynajmniej nie usposobionej do złożenia go w ręku mojem lub czyjemkolwiek. Bez jej zaś w tem współudziału, wszelkie twierdzenia moje pozostawać musiały gołosłownemi a więc bezowocnemi. Nie myślałem

też ich używać jako rzeczy której prawo nie uwzględnia, a więc której prawnik bez śmieszności użyć nie może. Gdyby Dziędzierska skłonioną być mogła do wyznania prawdy... myśl ta błysnęła mi jak nić przewodnia, według której kierować bym się mógł dalej, po trudnej lecz obowiązkowej dla mnie drodze, bronienia winnego zapewne, lecz mniej winnego niż o tem świadczyły pozory człowieka. Gdzie jednak i jakie były środki ku zmiękczeniu i wzruszeniu kobiety rozjątrzonej i w ukryciu prawdy mocno zainteresowanej? Nie powinnyżby myśleć nad tem osoby najbliższe nieszczęsnemu chłopcu, Ojciec jego, Matka? Nie powinniż dołożyć starań, aby syn ich nie został więcej nieszczęśliwym niż na to zasłużył? Położenie ich społeczne zarówno jak boleść ich rodzicielska, mogłyby zaimponować kobiecie trzymającej w swem ręku główny węzeł losu ich syna, lub wzruszyć ją i ze słowami prawdy na ustach przed sąd przywieść. Prawo nie wzbraniało im tego, sumienie nakazywało to uczynić, serce nakazywać by powinno.

Z innej strony główną okolicznością łagodzącą tu winę, było zaniedbane i błędne wychowanie młodego winowajcy, nadewszystko zaś niezdrowa pod względem moralnym atmosfera próżniactwa, bezładu, nudy i suchości uczuć śród której wzrósł on krzywo i rozwinął się kaleką.

Rozwijając przecież przed sądem tę okoliczność, musiałem z konieczności dotkliwe i zawstydzające czynić zarzuty ludziom, których jednak osobiście nieznałem. A cóż gdyby zarzuty te po części przynajmniej były niesprawiedliwemi, gdybym umniejszając niedoli i hańby występnemu synowi, rzucił niesłuszne brzemię wstydu i nowej boleści na siwą głowę niezbyt zapewne mądrego, (było to już dla mnie zupełnie dowiedzionem) lecz uczciwego ojca, niezbyt może dzielnej i troskliwej (nie uległo to też wątpliwości żadnej) ale dobrej i kochającej matki?

Czułem że obwiniając rodziców w celu częściowego przynajmniej uniewinnienia syna, ważyłem się na krok ze wszech względów ważny, że kroku tego nie wolno mi było dokonywać lekkomyślnie. Zeznania młodego Kalińskiego i opowiadania jego o domu rodzinnym wiele mi o nim powiedziały, posiadałem najsilniejsze przekonanie, że uczynione były w najlepszej wierze, ale przekonanie to nie starczyło ani sumieniu mojemu ani rozumowi. Dobra wiara z jaką człowiek twierdzi o czemś, nie jest zupełną rękojmią prawdziwości jego twierdzenia. Można mówić nieprawdę ani myśląc o kłamstwie, młody Kaliński mógł mówić i myśleć o rodzicach swych wiele rzeczy, których w istocie nie było lub które były innemi, inaczej niż on je spostrzegał. Nie mogłem ważyć się na przyjmowanie w obec sądu i własnego sumienia współudziału, w przypuszczalnym bardzo jego omyłkach. Jeżeli obowiązek nakazywał mi już usunąć potępienie, to oprzeć je, powinienem był na sądzie samodzielnym, na faktycznem poznaniu osób i okoliczności. Z takiemi to myślami usiadłem o bardzo wczesnej porannej godzinie na bryczkę pocztową i udałem się drogą wiodącą ku obszernemu, acz jak słyszałem niezmiernie zaniedbanemu i nawpół zrujnowanemu majątkowi Kalińskich. Nie miałem wiele czasu do stracenia. Napędzałem jadąc pocztylijonów w połowie drogi dla większego pośpiechu, rozkazywałem na stacyach pocztowych zaprzęgać do lekkiej bryczki po cztery konie, szybko też bardzo posuwałem się naprzód i około godziny trzeciej z południa, z głównego gościńca skręciłem w boczną aleę wiodącą do Kalinowieckiego dworu.

Alea ta osadzoną była z dwóch stron włoskiemi topolami z których jednak połowa zaledwie pozostawała przy życiu.

Inne uschnięte były, lub po prostu zrąbane.

— To dopiero śmieli i nieuczciwi ludzie, rzekłem do pocztylijona, żeby też tak tuż pod dworem rąbać i kraść takie piękne drzewa...

Pocztylijon pochodzący ze stacyi blisko z Kalinowem sąsiadującej, uśmiechnął się i zapytał.

— A jakże to pan myśli, kto zrąbał te drzewa?

— Naturalnie, odpowiedziałem, chłopi pewno z pobliskich wsi.

Zaśmiał się głośniej i rzekł. — Otóż to że nie! temi drzewami we dworze w piecu palą.

— Czy w Kalinowie lasu nie ma?

— Hej! i jaki jest jeszcze, choć go rąbią na wszystkie strony ale po co do lasu po drzewo jeździć, kiedy taki piękny opał tuż za bramą rośnie.

Im więcej zbliżałem się ku dworowi, tem lepiej spostrzegałem że nie tylko to co rosło za bramą, ale i sama brama wspólnie z towarzyszącem jej ogrodzeniem dziedzińca, używaną być musiała na opał lub inne doraźne gospodarskie potrzeby. Wytworną stolarską robotą wykonane sztachety, podnosiły się dokoła podwórza w znacznych sobie odstępach, inne wyjęte z pod murowania całkiem prawie ogołoconego z tynku: pozostawiły po sobie szerokie próżnie, śród których pięły się i sterczały zeschłe w tej porze łodygi dzikiego chmielu i bujnej dziewanny. Pod groźbą zostania zabitemi jednem ze skrzydeł bramy, które pozbawione górnej zawiasy swawolnie szamotało się z wiatrem, wjechaliśmy na dziedziniec.

Wjechaliśmy na dziedziniec ten bez szwanku i przeszkody, ale przebycie go nie okazało się bynajmniej rzeczą nader łatwą. Wywołane turkotem kół i dzwonkiem pocztowym, wypadać poczęły ze stron wszystkich, i drogę nam zabiegać psy najrozmaitszych wielkości i gatunków. Rzucały się one przed konie, ujadały, wyły, warczały, zębami klapały tak, że naprawdę począłem się obawiaćażali jak Daniel oddany nie zostałem zwierzętom na pożarcie. Pocztylijon z całej siły ściągał lejce z obawy, aby rwące się i wierzgające konie nie uniosły nas albo nie zmiażdżyły kopytem którego z napastników. Piekielna wrzawa której staliśmy się powodem, sprowadziła z domu i ze stajen dwóch czy trzech ludzi. Rozległy się też głośne wołania, gwizdania i cmokania.

— Dobosz! Doskocz! Zagraj! Połaj! Lutnia! Cytra! Arfa! Panna! Neptun! Omer! Flet! Bas! pójdzcie! do nogi! harrap! cyt! na tu!

Te i tym podobne okrzyki rozlegały się po dziedzińcu, zagłuszane wściekłem i nie mającem końca ujadaniem. Nagle, pod drzwiami oficyny zjawił się chłopak w brudnej koszuli i w czemś nakształt kozackiej kurteczki wdzianej na jedno ramię, podniósł do ust ogromną mosiężną trąbę i zadął na niej pobudkę od której zapiszczało mi w uszach i zaszumiało w głowie.

Był to znać sygnał, którym zawiadomiono zwyczajnie psiarnię iż obiad jej gotowy, bo wrzaskliwa zgraja ujadać przestała, nastawiła uszy, poczem tłumnie i z wielkim pośpiechem rzuciła się ku oficynie i grającemu wciąż na trąbie chłopakowi. Uwolnione z oblężenia, niemniej jednak przestraszone i rozjątrzone konie, puściły się wielkim cwałem i w kilka sekund bryczkę podskakującą po dzikich kępinach i za padającą w głębokie doły jakich pełen był dziedziniec, przyniosły pod ganek domu. Dom to był obszerny, na wysokiem podmurowaniu zbudowany, z długim rzędem wielkich okien i gzemsem który musiał być kiedyś ozdobnym. Wszystko tu zresztą musiało być kiedyś ozdobne, wygodne a nawet wspaniałe. Dziś jednak gipsowe wieńce poopadały w połowie z gzemsów pozostawiając po sobie okrągłe lub podługowate szare plamy, w kilku oknach szyby zastąpione były bibułą a te które istniały jeszcze od pyłu i pajęczyn wszelką utraciły przezroczystość, u stóp podmurowania leżały gęste rozsypane gruzy z wypadłych cegieł i opadającego tynku powstałe, po słupach podtrzymujących ganek grubemi kroplami ściekała wilgoć, a w podłodze ganku brakowało całkiem jednej deski, inna zaś przełamana na w pół sterczała z jednej strony wysoko z drugiej wklęsała głęboko w wilgotną ziemię.

Z wielkiej nagiej sieni o ścianach popielatych od pyłu, wszedłem do przedpokoju gdzie znalazłem dwóch wąsatych lokajów. Jeden z nich przybrany w wyszarzaną ale srebrnemi guzami połyskującą liberyę, zatrudniony był porządkowaniem w szafie stołowych naczyń, drugi w czarnym tużurku siedział w niedbałej postawie na kanapie podartym perkalem obitej z książeczką jakąś na bibule drukowaną w ręku. Zapytałem wchodząc czy znajduję w domu państwa Kalińskich. Lokaj w liberyi powiedział mi że pan jest nieobecnym ale pani ze starszą panienką i paniczem tylko co przyjechali z sąsiedztwa. Postąpiłem ku drzwiom w głąb domu prowadzącym ale tu powstał już z siedzenia swego lokaj w tużurku. Jak pana godność? zapytał, oznajmię pani...

Był to widocznie kamerdyner jak domyśleć się tego mogłem po braku liberyi, długiej brodzie i niezmiernie poważnym wyrazie fizyonomii.

Powiedziałem moje nazwisko które jednak gospodynię domu niczego nauczyć nie mogło. Ale trzeba było zastosować się do ceremonijału ściśle znać przechowywanego w domu tym, którego gzemsy pokryte były pleśnią a fundament rozsypywał się w gruzy. W minutę potem otworzyły się przedemną na oścież podwoje salonów. Były to rzeczywiście salony nie zaś żadne ich imitacye. Sufity wysokie, posadzki układane z dębu i jesionu, sprzęty mahoniowe, z wysłaniem na sprężynach, wielkie zwierciadła pomiędzy oknami, bronzowe zegary i porcelanowe wazy na stołach i konsolach. Mieszkanie to przedstawiało widok wcale effektowny tylko że obicia na ścianach były mocno brudne, dywany zaściełające posadzkę miały brzegi w dziwny jakiś sposób poszarpane i powykęsywane, stoły i poręcze sprzętów pokrywała gruba warstwa kurzu, w porcelanowych wazach gnieździły się pająki i spoczywały zamarłe muchy a wskazówki bronzowych zegarów stały.

W salonie w którym zatrzymałem się nie było nikogo.

Domowi nie byli znać przygotowani do natychmiastowego powitania gościa. W istocie też o uszy moje obijał się wychodzący z głębi domu szmer śpiesznych kroków, stłumionych szeptów, dzwonienie żelazek, i fruwanie przenoszonej z miejsca na miejsce odzieży.

Stojąc przy oknie ujrzałem niebawem przebiegającą od domu do oficyny dziewczynę służebną, z którą skrzyżował się w drodze z oficyny do domu biegnący osmolony kuchcik. Po chwili zaś dziewczyna niosła ku domowi wykrochmaloną spódnicę, a kuchcik niósł ku oficynie drewnianą łyżkę pełną masła i trochę mąki w rądelku. Naprzeciw dziewczyny wyszła wysoka jakaś panna w brudnym flanelkowym kaftanie zarzuconym na ramiona, i pogroziwszy pięścią służącej pchnęła ją ku domowi: na spotkanie kuchcika wybiegł kucharz w białym fartuchu i w jednym ręku trzymając patelnię drugą pochwycił ucho malca i nie porzucił go dopóty, dopóki wraz z nim nie zniknął za progiem kuchni. Z całego tego ruchu domyśliłem się, iż nie wiedząc kto jestem czyniono na przyjęcie me osobliwe przygotowania składające się z krochmalnych spódnic, świeżo ufryzowanych włosów i dorobionych do obiadu naleśników.

Nagle doszłe do uszu moich warczenie jakieś i szelesty oznajmiały mi, że nie ja jeden znajduję się w salonie.

Rozejrzawszy się bacznie spostrzegłem, że byłem w bardzo nawet licznem towarzystwie. Ogromny czarny ternew leżał zwinięty w kłąb na głównej ka-

napie, dwa wyżły wyciągały się rozkosznie na miękich materacach fotelów, młode gończaki o żółtych płomieniach nad oczami igrały swobodnie z brzegami kobierca tłómacząc mi pochodzenie owych wykąszeń które zauważyłem w przódy: jeden jeszcze pies jakiś którego gatunku określić już nie mogłem przebiegał przez pokój pozostawiając za sobą gęste ślady stóp zabłoconych, i jeszcze inny stał dwoma wielkiemi łapami wsparty o marmurową konsolę, usiłując pochwycić leżącą na niej nie dojedzoną porcyjkę chleba nasmarowanego masłem. Osobliwe zgromadzenie tu jakie spostrzegłem dokoła siebie nie umniejszało bynajmniej niecierpliwości z jaką oczekiwałem zjawienia się gospodyni domu. Nie ona to jednak weszła do salonu ale młody wysmukły mężczyzna, w którym domyśliłem się owego Julka o którym słyszałem już od Romana. Był to piękny młodzieniec ale wcale do brata nie podobny. Wysmukły, delikatny, z białą jak u kobiety twarzą, drobnym jasnym wąsikiem i włosami starannie pozwijanemi w loki i pukle, posiadał on tę pospolitę piękność która obojętna dla myślącego oka najbardziej jednak popłaca śród salonowych zabaw i zalotów. Cała postać jego wyglądała jak wykrojona z żurnalu mód. Z grzecznym uśmiechem na rumianych ustach zbliżył się do mnie, a gdy wzajemnie wymieniliśmy przed sobą nazwiska nasze uprzejmym gestem wskazał mi fotel stojący przy kanapie tuż w sąsiedztwie rozciągniętego na niej ternewa. Bardzo żałujemy, zaczął, że przybywasz nam pan w nieobecności Papy. Pojechał dziś właśnie z sąsiadami na polowanie. Wczoraj spadł pierwszy śnieżek, korzystając więc z wybornej ponowy myśliwi udali się w pole z chartami.

Wielki Boże! pomyślałem, nie wszystkie więc jeszcze psy jakie zwyczajnie przebywają w tem miejscu widziałem, ponieważ chartów nie było w domu!

— A pan nie jesteś zwolennikiem polowania? zapytałem dla tego tylko aby cóśkolwiek powiedzieć.

— Trochę, trochę, odpowiedział młody człowiek, dziś jednak nie towarzyszę Papie ponieważ przed dwoma dopiero godzinami wróciłem z Mamą moją i siostrą z trzydniowej wycieczki. Byliśmy na imieninach pani Z. Bawiono się wybornie.

W ogólności od pewnego czasu w okolicy nasze bawią się bardzo wesoło. Mamy kilka bardzo ładnych i posażnych panien, młodzieży nieco brak ale zawsze jakoś kadryl i mazur złożyć się mogą...

Umilkł i chrząknął parę razy jak zwykle bywa z ludźmi którzy czują się w obowiązku bawienia gościa a nie wiedzą o czem by z nim mówić mieli. Po chwil jednak zaczął znowu.

— Pan świeżo zapewne przybywasz do naszej okolicy. Nabyłeś pan może w sąsiedztwie naszem jakie dobra i zabierasz znajomość z nowemi sąsiadami. W takim razie bardzo wdzięczni jesteśmy panu, żeś o nas pomyśleć raczył a ja z góry ofiaruję się panu na *cicerone*.

— Nie panie, przerwałem, jestem adwokatem i mieszkam stale w N.

Na te słowa widoczne zmięszanie ukazało się na twarzy młodego syna domu.

Snać dom ten miał powody obawiania się wszystkiego co tyczyło się prawa i ludzi mających z niem urzędowy niejako stosunek. Przyczyną obawy tej nie były naturalnie wykroczenia żadne przeciwko karnemu kodeksowi, ale zbyt liczne zobowiązania względem hipoteki. Dla pokrycia zmięszania swego i niezadowolnienia młody człowiek wyjął z kieszeni cienką chusteczkę i powiódł nią po twarzy, mnie zaś całego owionęła ulatująca z niej silna woń perfum.

— Jesteś pan adwokatem... a więc zapewne... zapewne w jakim interesie...

Nie ukończył wymawiać tych wyrazów, gdy otworzyły się drzwi i weszła przez nie kobieta ze znacznie rozwiniętą tuszą, żwawa jednak i w czarnej sukni na wielce bombiastą krynolinę włożonej. Panu Julijanowi jakby ciężar spadł z serca. Zerwał się z fotelu i zwrócony w pół do mnie w pół do wchodzącej wymówił.

— Oto moja Matka!

Z bacznością spojrzałem na Matkę tego, za kim w domu tym przemawiać miałem. Nie była starą i nie była młodą, nie była piękną i nie była brzydką. Włosy miała gładko przyczesane pod czarnym czepeczkiem, oczy błękitne bez żadnego pewnego wyrazu i pulchne usta z dobrodusznym uśmiechem z za którego ukazywały się białe zęby. Nie przyciągała niczem i niczem nie odstręczała. W ogólności wyglądała na skończoną, szczyptą salonowej etykiety przyprawioną kumoszkę i powiatową swachę z professyi.

— Pan August Nahorski? wymówiła tonem pytania zatrzymując się przedemną.

— Tak pani, odrzekłem i dla uniknięcia wszelkich wstępów i nieporozumień wnet dodałem, przybywam tu w interesie pana Romana Kalińskiego którego jestem prawnym obrońcą.

Słowa te sprowadziły na pulchną twarz kobiety tak silny rumieniec, że czoło jej nawet i podbródek zaszły purpurą.

— W interesie Romana Kalińskiego? wyjąkała opierając się ręką o poręcze fotelu.

— Tak, odpowiedziałem ze spokojną stanowczością, w interesie syna państwa...

Kobieta podniosła żywo głowę i orzuciła mię piorunującem spojrzeniem.

— Roman Kaliński, rzekła drżącym od wzburzenia głosem, nie jest proszę pana synem naszym. Mamy jednego tylko syna którego pan oto widzisz przed sobą!

Spodziewałem się usłyszyć podobne słowa. Nie zmięszały więc mię one i od spełnienia zamiaru mego nie odwiodły.

— W istocie rzekłem, rozumiem dobrze iż całe postępowanie Pana Romana a szczególniej ostatnie trudności w jakie popadł, mogły wzbudzić w rodzicach jego bardzo żywe nie zadowolenie, narazić go na gniew ich a nawet na czas jakiś zobojętnić dla niego ich serca. Nie sądzę jednak aby zobojętnienie to mogło być tak zupełne i trwałe abyście państwo nie chcieli o ile to w mocy waszej zostaje udzielać mu ratunku..

— Nikt nie może uratować człowieka który sam siebie gubi, przerwała gospodyni domu siadając i wskazując mi ręką miejsce na fotelu. Zrenice jej biegały niespokojnie a ręce drżały i miąć zaczęły w palcach brzeg przykrywającej stół, bardzo kosztownej i silnie poplamionej serwety.

(d. c. n).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Ze Lwowa.

W poprzednim liście zastrzegłem sobie miejsce na przedstawienie dalszego przebiegu sprawy z owemi *Porcyami*, które odkrył Stanisław hr. Tarnowski jako najnowszy rodzaj lichwy wykonanej przez naszych obywateli ziemskich na biednym ludzie wiejskim. Protesty i zaprzeczenia sypały się w całym miesiącu tak obficie, że w końcu dzienniki musiały im zamknąć swoje łamy, gdyż groziło im znużenie czytelników. Nie ma w Galicyi wschodniej żadnego powiatu, nie ma nawet żadnego zakątka, z którego nie nadszedłby protest podpisany przez znakomitych obywateli a zaprzeczający stanowczo, ażeby gdziekolwiek istniały porcye albo coś podobnego do nich. W miarę, jak wzrastała liczba tych protestów, odstępować zaczęli hr. Tarnowskiego nawet ci, którzy w pierwszej chwili ślepo uwierzyli jego artykułowi. Ton zaś zaprzeczeń publicznych stawał się coraz ostrzejszym i więcej wyzywającym. Dziś pozostaje p. Tarnowskiemu tylko dwa sposoby honorowego wycofania się z tej smutnej sprawy. Musi on albo odwołać publicznie podniesione oskarżenie, albo wymienić indywidua winne i wskazać na to dowody. W pierwszym wypadku p. Tarnowski powetuje krzywdę wyrządzoną właścicielom ziemskim w wschodniej Galicyi, ale zarazem złoży dowód takiej lekkomyślności publicystycznej, że sam ukarać się powinien dobrowolnem złożeniem mandatu poselskiego. W drugim razie który uważany jest za nieprawdopodobny, jednostki winne zostaną publicznie napiętnowane a kara ta zapobiegnie raz na zawsze szerzeniu się złego. Z wielką niecierpliwością oczekuje publiczność ostatecznego rozwikłania całej tej sprawy. Do chwili, w której zamykamy tę korespondencyę, nie pojawiło się jeszcze żadne stanowcze oświadczenie hr. Tarnowskiego.

W teatrze zmiana na lepsze dotąd przynajmniej zdaje się być stanowczą i trwałą. Od chwili gdy do grona tryumwiratu kierującego teatrem przystąpił p. Bolesław Ładnowski, nie występują na jaw żadne gorszące zatargi i skandale a publiczność mając przed sobą repertuar jak na początek dość ciekawy, pogodziła się z teatrem i czasem nawet przepełnia salę. Osobliwie dzieje się to wtedy, gdy występuje śpiewaczka panna Wanda Bogdani (Kleczkowska) albo świeżo zaangażowana artystka pani Zimajer. P. Bogdani jest lwowianką ale obecnie bawi w murach naszych jako gość bardzo mile witany. Przed dwoma laty p. Bogdani opuściła Lwów i odtąd zasłynęła już w świecie artystycznym, bo występowała z niemałem powodzeniem w operze paryzkiej a obecnie jest stale angażowaną w komicznej operze Wiedeńskiej. Kilku występami swojemi w operze lwowskiej p. Bogdani zachwyciła publiczność w całem tego słowa znaczeniu. Na miłe i sympatyczne wrażenie, jakie na każdym widzu sprawiać musiał występ pani Bogdani składa się kilka niepospolitych czynników; śliczny i dźwięczny głos, ujmująca postać i gra swobodna a pełna lekkości i elegancyi francuzkiej. Podobno dyrekcya nie myśli nawet o zaangażowaniu p. Bogdani bo opera we Lwowie i tak już naraża przedsiębierstwo teatralne na ciągły niedobór. Jeżeli głos komisyi artystycznej przez wydział krajowy ustanowiony zostanie wysłuchany, to w krótce będziemy mieli tylko sezonową operę. Drugą ulubienicą naszej publiczności w tej chwili jest pani Zimajer, która ze skromną przeszłością artystyczną wstąpiła na scenie naszej w roli naiwnej i zaraz na wstępie zdobyła sobie ogromną sympatyę. Po drugim i trzecim występie nazwisko p. Zimajer stało się tak popularnem jak nazwisko p. Romany Popiel dopiero po całorocznym pobycie we Lwowie. Krytyka teatralna przyznała p. Zimajer nietylko talent wyższy ale co ważniejsza wielką oryginalność i samodzielność w grze. Dodajmy do tego uroczą postać, głosik szczebiotliwy, ruchy zgrabne a będziemy mieli obraz artystki, która przebojem opanowała sympatyę Lwowian. Jeden tylko dziennik odmawia p. Zimajer wszelkich zalet, a jest to ów organ którego redaktor niemogąc wywalczyć dla swego syna dyrekcyi teatru gani teraz wszystko i wszystkich, czem oczywiście kompromituje się na każdym kroku i dobrowolnie pozbawia się resztek wpływu nawet w sprawach artystycznych. Zdaje się że Lwów nie długo cieszyć się będzie panią Zimajerową. Takie to już przeznaczenie naszej sceny, że skoro zasłynie na niej jaka artystka traci ją zaraz niepo-

wrotnie. Warszawa zabrała nam p. Romanę Popiel a jeżeli sprawdzi się obiegająca tutaj wiadomość, że artystka ta porzuca swój zawód, to zapewne wkrótce stracimy i p. Zimajerową.

Nowy rok wywołał jak zawsze gorączkowy ruch w naszej peryodycznej literaturze. Wszystkie pisma polityczne i literackie przyrzekają czytelnikom odnawiającym wcześnie prenumeratę wielkie korzyści i formalne nagrody. Daleko nam jeszcze do Ameryki więc nagrodami temi nie są ani spinki do koszuli ani łańcuszki lecz książki. Jeden z dzienników politycznych przyrzekł swoim czytelnikom po cenie bardzo zniżonej zbiorowe wydanie powieści Józefa Dzierzkowskiego. Wstępujemy więc w ślady Warszawy, bo mamy już zbiorowe wydanie powieści J. I. Kraszewskiego a zanosi się na kilka nowych przedsiębierstw tego rodzaju. Wydawnictwo dzieł naszych klasycznych pisarzy mogłoby być jeszcze dzisiaj z powodzeniem podjęte, a przedsiębierca mógłby tem położyć wielką zasługę. Aż wstyd przyznać się, jak mało znane są dzisiejszemu pokoleniu pisma Skargi, Kochanowskiego, Reja, Górnickiego, Modrzewskiego, Orzechowskiego i t. d. Czytanie tych dzieł mogłoby przynieść wielkie korzyści, przedewszystkiem wpłynęłoby znakomicie na poprawę dzisiejszego języka, któryśmy oszpecili mnóstwem nieswojskich zwrotów i wyrażeń i pozbawili dawnej jędrności. Gotowiśmy zaręczyć, że z dzisiejszych nowych literatów tylko nieznaczna część zapoznała się dobrze z perłami dawniejszych okresów naszej literatury.

Dr. B. Ł.

Przegląd literacki.

Wuj Damazy.

Szkic z natury, skreśliła ciotka Marynia (Marya Szeliga).

Częstokroć ludzie których określamy ogólnem mianem „poczciwych“ a w gruncie rzeczy leniwi, niezaradni, niedołężni i przesądni, mają zwyczaj wszelkie niepowodzenia, z braku stanowczości własnych ich charakterów wypływające, kłaść na karb przeznaczenia. Nie umiejąc korzystać z dodatnich stron życia, wyrobić sobie odpowiednie stanowisko, ani też czerpać naukę przyszłości z doświadczenia; obezwładnieni nadto bierną ociężałością, przypisują wszystkie swoje niepowodzenia starożytnemu fatum, przeciwko któremu walka staje się niepodobną. Czynią tak, bo im z tem bez porównania wygodniej. Daleko snadniej obwiniać jakąś tajemną choćby nawet fantastyczną siłę, niżeli przyznać się do własnego niedołęztwa.

Takim był wuj Damazy od najmłodszych lat swej młodości, takim też i pozostał aż do grobowej deski. Z powodu braku energji, męzkiej stałości charakteru, hartu woli, przez całe swe życie dał się powodować wypadkom, miasto brać nad niemi górę; a gdy inny zabiegliwszy od niego umiejętnością, pracą i trudami uprzedzał jego chęci, zdobywał cel jego zachceń i marzeń, on upadając pod ciężarem nieszczęścia widział w przypadkowym w spółzawodniku swoim jakieś uosobistnienie złowieszczego losu. Podobne zwichnienia umysłowe nie bywają rzadkiemi zjawiskami w społecznem życiu. Brak stanowczości w charakterze wyradza stopniowy upadek władz intelektualnych, uginanie ciągłe bark pod naciskiem przeszkód zwątpienie a niechęć do walki — niedołęztwo.

Wychowanie pana Damazego odbyło się na sposób powszechnie przed niedawnym jeszcze czasem praktykowany.

Potulny Guwerner, parę klas szkolnych przebytych w paniczowstwie, trochę gospodarki a nakoniec podróż do Paryża dla nabycia światowej ogłady i towarzyskiego poloru, ot i wszystko; dziwić się więc niemoża iż nie posiadając gruntownego wykształcenia, bohater nasz nie mógł wyrobić w sobie odpowiedniej mocy ducha. Kiedy po śmierci ojca powrócił wezwany przez matkę do kraju, spotkał w wagonie kolei żelaznej młodego człowieka, który od tej chwili w każdem zdarzeniu życia stawał mu na drodze przeszkadzając w dokonaniu powziętych zamiarów. Postać ta napozór fantastyczna a rzeczywiście z krwi i ciała „sa bete noire“ (niech mi Czytelniczki tę nazwę francuzką ze względu świeżej podróży do Paryża przez p. Damazego odbytej przebaczą, była uosobieniem dodatnich stron brakujących naszemu wujaszkowi). Przez swoją zabiegliwość, wytrwałość, a szczególniej wypełnianie wszystkiego w porę, nieznajomy zbierał plony na roli którą zniewieściały młodzieniaszek zaledwie obsiać zamyślał i we wszystkiem, od drobnych wyg'd życia aż do najważniejszych postanowień umiał go uprzedzać. Ową głównie działającą osobę drammaciku jaki mamy przed oczami, autorka pozostawiła naumyślnie w półcieniu, ażeby nadać jej fantastyczną a konieczną do ogólnego effektu barwę. Za to inni aktorowie powiastki, czy to w wybitnych konturach czy tylko w kilku zarysach szkicowych nakreśleni wybornie. Nie mówiąc już o opracowanej starannie kreacyi samego bohatera ani o Hrabinie Siekierskiej, która w każdem słowie, ruchu, wzięciu się uosabia typ jaki jej nadano, wszystkie wchodzące do szkicu obyczajowego osobistości, istnieją, czują i działają; nie są to automaty sztucznemi poruszane sprężynami, ale istoty żyjące, wzięte z otaczającego nas świata. Częstokroć autorka w kilku słowach, w dwóch lub trzech zarysach lepiej uwydatnia wzajemne położenie swoich bohaterów, niżli... no, nie powiem już kto, uskutecznia to w długich a nudnych frazesach. Pierwsze np. spotkanie się Damazego z Hrabiną lub przedśmiertne chwile tejże skreślone z prawdziwym talentem; wyrazów tam mało, peryodów skąpo, frazeologji żadnej, ale owa zwięzłość odpowiadająca rozmiarom powiastki nadaje jej zajmującą barwę. Niech mi jednakże będzie wolno powiedzieć, iż autorka chcąc być przedewszystkiem treściwą, unikając i słusznie niepotrzebnych opisów, zbytecznych wyjaśnień, pomija czasami z umysłu szczegóły które uwydatnione zaokrągliłyby całość. Zdaniem naszem, matka Damazego widna tylko w samym zawiązku powiastki, powinna być wysuniętą więcej na pierwszy plan, choćby tylko dla tego że wszystkie wady charakteru naszego bohatera wypłynęły ze złego kierunku, a któż wszczepia pierwsze zasady w duszę dziecięcia jeżeli nie jego matka? Otóż gdy widzimy skutki, to nie od rzeczy i przyczyny bardziej jak kilkoma zarysami uwydatnić. Nie mamy nic przeciwko temu że Kocia, owa poczciwa, naiwna i serdeczna pieszczotka nie odgrywa pierwszej roli w powieści; autorka dała jej tyle pola do działania ile tego wymagały rozmiary szkicu — więcej, byłoby zbytecznem, ale jednak nagłe zaślubiny jej z owym na w pół-fantastycznym człowiekiem nie są konsekwentnie wyjaśnionemi. Wszakże ona kochała szczerze Damazego, dla czegóż więc poszła za innego? Cóż ją skłoniło do przeniewierzenia się najczystszem uczuciom serca? Najlżejszy pozór uniewinniłby sympatyczną dotąd istotę w oczach czytelnika, gdy tym sposobem nic ją od zarzutu płochości zasłonić nie zdoła.

Wypowiadając tę myśl nie czynię ogólnego zarzutu utworowi; być bowiem bardzo może, iż gdyby autorka zapragnęła wszystkie naszkicowane tylko zarysy zaokrąglić, to powiastka jej barwna, wdzięczna, zajmująca, stałaby się nudną i nużącą: kładę jedynie nacisk na te dwa szczegóły wypływające z kosekwentności samego założenia.

P. Marya Szeliga jako poetka i jako autorka powieści, zajęła w literaturze naszej stanowisko które lekceważonem być nie może. Posiada ona rzeczywisty i niezaprzeczony talent, który pomimo zjadliwej krytyki zazdroszczących jej powodzenia zoilów, zyskał powszechne uznanie. Szkic z natury p. t. „Wuj Damazy“ jest tylko jedną drobną perełką w licznym szeregu poważniejszym zakrojem płodów młodej autorki, ale utwór ten choć niewielki rozmiarami, szczupły zakresem środków, bezpretensyjonalny treścią posiada oprócz moralnej tendencyi prawdziwe zalety które niepozwalają kronice naszej sprawozdawczej pomijać go milczeniem.

Język wszędzie czysty, jędrny i barwny chociaż radzibyśmy byli widzieć mniej przepolszczonych z francuzkiego wyrażeń jak np. *wyperswadowała ojcu* (str 6) zamiast przekonała ojca, *na moje konto* (str 7) zamiast na mój rachunek, *zdecydował się* (str 8) zamiast postanowił sobie, *mój kompan* (str 11) zamiast mój towarzysz, *rozpoczyna konwersacyę* (str 12) zamiast rozpoczyna rozmowę, *piknęło mię w sercu* (str 12) zamiast zadrasnęło moje serce, *ekzercytować się w konnej jeździe* (str) 15 zamiast wprawiać się w konną jazdę i t. d. Bogata mowa nasza zawsze jest drogocennym skarbem, który każdy z pracowników na literackiem polu, a tym bardziej wybitni talentem pisarze w nieskazitelnej czystości zachować powinni. Gdybym pisał sprawozdanie o pracy jakiej poczynającej autorki, to dostrzegłszy tyle rzeczywistych zalet pominąłbym milczeniem małoznaczne usterki języka, ale oddając należny hołd pięknemu obrazowi, pragnę zawsze ażeby nawet ramy w które został oprawiony odpowiadały jego wewnętrznej wartości.

Ludwik Niemojowski.

W CHATCE RYBAKA.

Szkice z życia ludu Włoskiego

przez

Ludwika Niemojowskiego.

Na krańcach dawnego państwa Kościelnego, po za miasteczkiem Terracina, ciągnie się okolica górzysta, poprzerzynana mnóstwem potoków, ocieniona gajami drzew oliwnych cytrynowych i pomarańczowych, gdzie natura rozlała wszystkie skarby nieprzebranych swoich bogactw. Okolica ta mało zwiedzaną bywa przez podróżników: trudność komunikacyi, brak najzwyczajniejszych potrzeb życia, a nadewszystko niedostatek owych rozsypujących się w gruzy zabytków przeszłości za któremi niejeden uczony, lub chcący naśladować zamiłowanie do archeologii turysta ugania się, jest powodem iż różnobarwne tłumy cudzoziemców, niechętnie w tę stronę kierują swe kroki.

Kto jednak szuka ożywczej przyrody, patryarchalnych obyczajów ludu, a nadewszystko ciszy i spokoju, radzę mu porzucić wielkie miasto z ich krzykiem i wrzawą, a minąwszy Albano, Gadzano, Velletri, Cisterno, zostawiwszy po za sobą zabójcze molaryą bagna pontyjskie, zagłębić się w wąwozy gór i zapukać do drzwi której z chat rybackich rozsianych wśród rozkosznych dolin, prosząc mieszkańców jej o gościnność.

Tam znajdzie on to, za czem napróżno gonił po obszernym świecie.

Czyliż jednakże ów spokój jest szczęściem?

Nie — ale wyradza bezwarunkowe zadowolenie, przedstawiając się jako chwilowy punkt wytchnienia po burzliwym przebiegu dziejów życia.

Pewnego razu, kilkanaście lat temu, zawitałem wraz z towarzyszem podróży do jednej z tych osad ukrytych wśród dolin i licznych wąwozów odosobnionych położeniem swojem od reszty świata.

To ciche ustronie, te chat parę zbudowanych niewprawną ręką rybaków pomiędzy skałami, zwało się Giuliano.

Zakołataliśmy do drzwi jednego ze skromnych mieszkań, i wnet poczciwa o siwych włosach postać starca ukazała się na progu domku:

— „Panowie forestieri!“ rzekł właściciel chaty; „jeżeli przywykliście do wygód, zbytku, gwaru i zabawy — powracajcie do Terracino; jeżeli zaś nieobawiacie się twardego kawałka chleba i twardszego jeszcze posłania, jeżeli nie zastrasza was cisza samotność wiecznie tu panująca, idźcie za mną: stary Lorenzo wskaże wam drogę.

Podobała nam się ta szczera mowa odpowiadająca otwartością i życzliwością rysom twarzy przyszłego gospodarza. Podziękowawszy za gościnne zaproszenie wstąpiliśmy do wnętrza rybackiej siedziby.

Widok przedmiotów jaki nas uderzył na wstępie, zajęcie jakoteż sposób życia tych ludzi prostych i poczciwych, odpowiadały zupełnie naszem usposobieniom. Gdy zaś po niejakim czasie mieliśmy sposobność bliżej poznać rodzinę rybaka, postanowiliśmy dłużej tam pozostać.

I odtąd dni nasze płynęły cicho, spokojnie, pośród otoczenia ludzi sympatycznych swą prostotą, w obec przyrody wspaniałej i dzikiej, pod jasnym błękitem włoskiego nieba.

Życie to jednakże było nader jednostajnem: chwila goniła za chwilą, mijały godziny — doby całe, nieprzynosząc żadnej zmiany w naszem położeniu; a my szczęśliwi bezwarunkowem spokojem jaki nas otaczał, nie pragnęliśmy zmienić go na bezwiedny ruch gwarliwego świata, na ogłuszającą wrzawę ludnych grodów.

Tak minęło kilka tygodni.

Z pierwszym brzaskiem jutrzenki, nim jasne promienie słońca wychyliły się z po za gór, ruch panujący w chacie zastawał nas zwykle na nogach: posiliwszy się wraz z rodziną rybacką skromnem śniadaniem, każdy udawał się w swoją stronę: rybacy jechali na połów, lub na targ do Terracina, my udawali się w góry, dziewczęta zaś zostawały w domu, dla przygotowania obiadu który zgromadzał nas nieodmiennie około godziny piątej wieczorem.

Stary Lorenzo, dwaj jego synowie Paolo i Nino, trzy córki Gigia, Concetta i Peppina, jakoteż kilku innych rybaków z sąsiednich chat odwiedzających czasami swego towarzysza, składało prócz nas dwóch, całe towarzystwo.

W razie deszczu lub pewnych znaków na niebie, które wskazywały iż morze w tej chwili mocno wzburzone, cała rodzina zasiadała do naprawy sieci, a stary Lorenzo lubił opowiadać nam dzieje swej młodości. Nie chcąc być nieczynnemi widzami wyuczyliśmy się w krótkim przeciągu czasu tej łatwej pracy; w początkach jednak niezgrabność wzięcia się naszego, obudzała częstokroć śmiech żywej jedenastoletniej Peppiny.

Gdybym posiadał dar opowiadania Korzeniowskiego lub Kraszewskiego, historya starego Lorenza nastręczyłaby mi temat do kilku zajmujących rozdziałów. Nie znał on nigdy swej matki, a w piętnastym roku życia stracił ojca sposobem strasznym i niespodziewanym: ten którego ojciec jego sądził być przyjacielem, z którym dzielił się częstokroć ostatnim kawałkiem chleba, dla nędznych widoków chwilowego zarobku pozbawił go życia podstępnem pchnięciem sztyletu. Obadwa byli Sycylianinami, obadwa w Palermo trudnili się przewożeniem towarów i pasażerskich rzeczy, lecz ojciec Lorenza był czynnym, i sprytnym i nieposzlakowanej prawości — Jacobo próżniakiem i hultajem. Kapitanowie więc statków i urzędnicy portu całe swe zaufanie w pierwszym z nich położyli, a Jacobo długie dnie trawił częstokroć w swej barce oczekując napróżno kilku karlinów na wódkę i tytoń. Chęć więc pozbycia się rywala połączona z posuniętą do szaleństwa zazdrością sprawiła, iż Lorenzo w tak młodym jeszcze wieku ujrzał się sam jeden na świecie, sierotą bez przytułku i opieki. Pierwszą jego myślą była zemsta straszna, nieubłagana, czekał tylko sposobności — ta wkrótce się nastręczyła.

Zbrodnia Jacoba nie dała mu zysków jakich się zapewne spodziewał. Jakolwiek niczego dowieść mu nie zdołano, osadzony został jako mocno podejrzany tymczasowo w więzieniu, aż do dalszego wyjaśnienia sprawy. Lorenzo potrafił pozyskać zaufanie dozorcy, który ujęty sprytem młodego chłopca, przyjął go do pomocy i wyręczenia w swych obowiązkach. Po kilku dniach znalazł się sam na sam w więzieniu zabójcy ojca.

— Viperino! zawołał tenże — przychodzisz pastwić się nade mną.

— Nie! odpowie: przychodzę cię zabić!

Jacobo zbladł nagle, gdyż jak wszyscy jemu podobni był podłym i nikczemnym.

— Wstydź się, jam bezbronny!

Zapomniał że przed kilkoma dniami zabił bezbronnego przyjaciela.

Za całą odpowiedź Lorenzo cisnął mu sztylet pod nogi.

Z wściekłością trwogi porwał nikczemnik żelazo i rzucił się na swego przeciwnika.

Walka zapalczywa, namiętna trwała krótko: nóż piętnastoletniego mściciela ugodził w samo serce zabójcę. *d. c. n.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. M. D. w Nowej grobli. W dzisiejszym numerze pomieszczamy ogłoszenie o nauce szewctwa damskiego, sądzimy zatem że najlepiej byłoby przybyć do Warszawy i zapisać się na uczennice do zakładu pani Pieniążkowej, lub pani Florentyny Aleksandrowiczowej przyjmującej także do swego zakładu przy ulicy Tamka pod N. 13. Gdyby trzeba jeszcze jakich objaśnień chętnie je udzielimy.

P. W. S. w Mitrunach. Dzieło pod tytułem *Historya literatury polskiej* Zdanowicza i Sowińskiego jest książką tylko właściwą dla osoby lubiącej poważną i pożyteczną literaturę. Cena tego dzieła 5 rs. wynosi. Opłata pocztowa kop. 40.

P. Maryi Mu. Do przesyłki książek dołożyliśny kopiejek 27 1/2.

P. Lar. Na opakowanie i opłatę pocztową Loteryjki dodała Redakcyja kop. 31.

P. K. S. Toaleta balowa dla młodej panienki o jaką się zapytywano kosztuje rs 30.

Pani Dobro: Suknia czarna jedwabna kosztować będzie 66 rs. najtaniej. Kapelusz 12 rs.

Fani Kar: Kapelusz aksamitny kosztuje od rs. 10 do 15. Burnus rs. 35. Salopy paletotową formą wyłącznie używane.

Przyjaciela Dzieci Nr 3 wyszedł z druku i zawiera:

Kardynał de Richelieu (z drzeworytem). — Poezya i Przyjaźń Komedyjka w 2-ch aktach. — Nie zazdrość nikomu (wiersz). — O budowie dróg asfaltowych. — Marcin Bielski. — Czyny nauczające. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Szarady. — Objaśnienia Szarad. — Rozwiązanie zadania arytmetycznego. — w Dodatku Dobra zabawka. (z ryciną). — W rocznicę urodzin Edmundka K. (wiersz). — Gdybym. — Nauka Babci (wiersz). — Pociecha. — Nie godzi się (wiersz) — Zgodne dzieci. — Śmiech Frani wiersz. — Icheumon (z ryciną).

Prenumerata kwartalnie wynosi:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Żabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Opis do N. 3.

N. 1. Ubranie wizytowe z tuniką z przodu.

Na sukni wełnianej popielatej, dodana jest oryginalna tunika, pokrywająca przód sukni aż do dołu, a z boków podpinana. Z tyłu suknia podniesiona jest w bufę i ozdobiona wodami plisowanemi i marszczonemi wolantami. Wypustki, guziki, objęcie brzegów kieszonek i stanika oraz kokardy są z błękitnej materyi.

N. 2. Ubranie wizytowe.

Ubranie to składa się z sukni czarnej jedwabnej i z aksamitnej kamizelki. Gładka spódnica z trenem, przybrana jest na przednim brycie plisą aksamitną, koronką i pasmanteryją jedwabną, odpowiednio do aksamitnej kamizelki. Na jedwabnych obcisłych rękawach, dodane sute garnirowanie z koronki. Formę aksamitnej kamizelki można dopasować podług zwykłego stanika z baskiną.

N. 3—5. Teka do papierów.

Wyszycie na skórze, z wykłutym poprzednio deseniem. Ryc. 4 i 5 przedstawiają w naturalnej wielkości deseń wyszycia na pąsowej skórze, jedwabiem czarnym i grubym pąsowym kordonkiem. Teka o jednej przegródce nie wymaga szczegółowego opisu, gdyż odszyta jest z jednego kawałka materyjału.

N. 6—7. Szufelka i szczotka.

Dla gospodyń lubiących porządek, podajemy małą ozdobną drewnianą szufelkę i szczotkę do zmiatania ze stołów okruszyn i t. p. Malowanie odrobione jest sposobem nakrapianym.

N. 8. Teka stojąca do obrazów lub dzienników.

Postument do teki, 57 cent. wysoki, a 35 cent. szeroki rzeźbiony jest z drzewa i lakierowany lub złocony. Wierzch teki ozdobiony taflą szklanną malowaną. W zeszłorocznych N-rach Tygodnika, podawaliśmy szczegółowe opisy malowania na szkle, naśladującego szyldkret lub konchę perłową.

N. 9—10. Stoliczek z przyborami do palenia cygar ozdobiony haftowaną lambrekiną.

Na małym, eleganckim stoliczku, widzimy ustawione wszelkie przybory do palenia jako to, ozdobne kielichy na cygara, papierosy i zapałki, przyrząd do obcinania czubków od cygar i t. p. Brzeg stolika ozdobiony jest ślicznie haftowaną lambrekiną, której wzór podaje ryc. 10. Listki wypukło haftowane, podkłada się grubo bawełną i haftuje sposobem dzierganym, jedwabiem żyłki na liściach i korzonki dorabiają się ciemnym jedwabiem. Od dołu sukno wycina się podług kształtu liści.

N. 11. Klapka na muchy, z pąsowego sukna, wyszywanego w deseń popielatym i czarnym kordonkiem, czarnej skóry i tektury do środka.



N. 1. Ubranie wizytowe z tuniką z przodu.

N. 2. Ubranie wizytowe z sukni z trenem i kamizelki.

N. 12. Poduszeczka.

Poduszeczka ta może służyć za przycisk do listów i w takim razie napełnia się, opiłkami z ołowiu, lub prochem, albo też może służyć do śpilek. Małe dziewczynki, zaledwie umiejące znaczyć litery na kanwie, mogą odszyć tę poduszeczkę i ozdobić ją desenikiem; jeżeli ma zastąpić przycisk do listów, to wyszyć na niej adres osoby, której ma być ofiarowaną tak jak na kopercie od listu. Długość poduszeczki wynosi 10 cent. szerokość $7 \frac{1}{2}$.

N. 13. Gipiurowy kwadracik jako zakończenie krawatki.

Kwadracik taki odrobiony z bawełny lub jedwabiu, wszywa się jako zakończenie do krawatek muślinowych, tiulowych, lub z crêpe de chine. Cieniutka siatka liczy 23 oczek w kwadrat. Deseń wyszycia, naśladujący gipiurę, wskazuje w naturalnej wielkości ryc. 13

N. 14. Irlandzka koronka z plecionki medalijonowej i gładkiej, wyszywanej perełkami.

Wyrabiane obecnie za granicą najrozmaitsze torsadki i plecionki gładkie, deseniowe, ażurowe i t. p. niezmiernie ułatwiają robotę, gdyż same stanowią deseń, który można bardzo pospiesznie spajać prostą kratką koronkową. Rycina 14 podaje właśnie wzór takiej koronki, mogącej stanowić bogate przybranie do sukni.

N. 15. Fartuszek z napierśnikiem.

Fartuszek ten z czarnej materyi, przyozdobiony jest wyszyciem w zęby, 15 cent. szerokiem, układanem z plisek jedwabnych, zakończonem u dołu koronką lub frendzlą. Napierśnik dopasowywa się najpierw ze sztywnego muślinu, podług figury, ażeby leżał gładko. W pasie naszyte są jedwabne pętlice i guziczki naśladujące zapięcie.

N. 16. Fartuszek z epoletkami.

Batystowa falbanka $3 \frac{1}{2}$ cent. szeroka, układana w kontrafałdki, $1 \frac{1}{2}$ cent. szeroka wstawka tiulowa i także koronka naszyte w zęby, podług ryc. 16 stanowią przybranie fartuszka i epoletek. Szwy przykrywa wąziutka pliska batystowa, stębnowana. Fartuszek wycięty w zęby, składa się z jednego bryta, epoletki potrzebują dwóch kawałków zwężonych w końcach, wyciętych z jednego brzegu w zęby, 5 cent. szerokich w środku, a długości stosownej do figury. Środek epoletek zajmuję bufa marszczona, z wierzchu naszyta; brzegi ozdobione odpowiednio do fartuszka, który wraz z epoletkami wszyty jest w pasek, zapinany z tyłu. Z prawej strony dodana jest mała kieszonka.

N. 17. Płaski koszyczek do robót.

Płaski koszyczek pleciony z cienkiej trzciny, 35 cent. długi 22 szeroki a $3 \frac{1}{2}$ i pół wysoki ozdobiony jest naszytym na dnie kwadratem z szarego płótna dzierganego w deseń ażurowy, biało lub kolorowo. Deseń haftu można wyrysować podług zmniejszonego formatu ryc. 17, lub wybrać z przeszłorocznych N-rów Tygodnika Mód. W koszyczku jaki opisujemy haft podwleczony był niebieskim perkalem, brzegi kwadratu otacza podwójna riusza z perkalu, 3 i 2 cent. szeroka. W stojący brzeg koszyczka przewleczona jest między trzciną niebieska wstążka.

N. 18—20. Gwiazdki do zawieszenia na drzewku.

Gwiazdki te odrobione są z kolorowych, złotych i srebrnych świecących perełek, na cienkim przepalonym druciku. Zawieszone na drzewku oświeconem kolorowemi świeczkami, błyszczą się i mienią wśród światła i stanowią ładne przyozdobienie.

N. 21—22. Koroneczka i wstawka.

Przedstawione na rycinie 21—22, odrobione są z sznureczka znanego pod nazwą „cordon télégraphique“ i robotą szydełkową. Odpowiednio do deseniu, w wstawce sznureczek wzięty jest pojedyńczo, w koroneczce podwójnie.

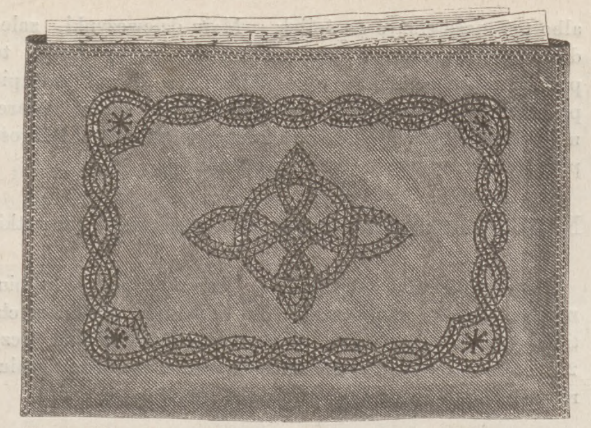
N. 23. Ramki słomiane. Robota fantazyjna.

Materyjał: słoma równej grubości, wstążka kolorowa 2 i pół cent. szeroka, haftki. Rycina 23 podaje ramki ze słomy odpowiednie domałych fotografii; do większych ramek w miejsce słomy używa się trzcinki. Do przycinania słomki potrzeba bardzo ostrego scyzoryka, ażeby się nie łamała. Słomki zszywają się cienką nitką, ażeby ściegi i przekłócia igłą jak najmniej były widoczne. Pięć pręcików stopniowej długości stanowi ramki; na skrzyżowaniach dodane są jeszcze trzy słomki, przełożone poprzecznie i przyciśnięte kolorową wstążką. Końce wstążki po zamocowaniu słomek, zszywają się mocno z sobą od spodu ramek. Do górnej sztabki ramek przymocowany jest pręcik podpierający stojące ramki, z boków i u dołu przyszyte są na końcach wstążki haftki, przytrzymujące fotografję.

N. 24—26. Poduszka pod nogi.

Materyjał: czarny atłas pąski pąsowego $2 \frac{1}{2}$ cent. szerokiego i białego 2 cent. szerokiego sukna, z których pierwszy z dwóch brzegów, drugi z jednego brzegu wycięty w ząbki; wstążka atłasowa błękitna $3 \frac{1}{2}$ cent. szeroka, także gruby jedwabny sznur; kolorowy kordonek; czarna cerata, podszewka.

Najpierw szyje się z podszewki poduszka, 30 cent. mająca średnicy, 16 wypukła, wypchana trawą morską; spód i boki na 6 cent. wysokości podszyte są czarną ceratą, czarny sznur wełniany obszyty w około dolnych brzegów. Górny szew chowa się pod bufą atłasową, ułożoną ze skosu 11 cent. szerokiego. Falbanka z sukna i wstążki 8 cent. szeroka, 183 długa, otacza brzegi poduszki, jak to widać na ryc. 24. Błękitna wstążka dana środkiem



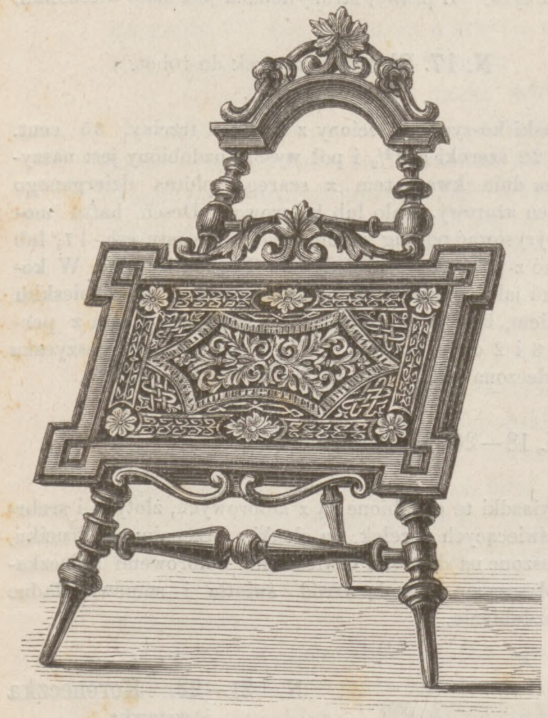
N. 3. Teka do papierów. Wyszycie na skórze patrz ryc. 4—5.

N. 28. Stanik z baskiną. Opis w N-rze 4 Tygodnika Mód.

N. 29. Parawanik do zastawienia świecy na noc.

Materyjał: biały atlas; zielona materyja, kreton, kolorowe jedwabie, cienki złoty sznureczek, czarno lakierowana trzcina, maleńkie gwoździki.

Parawanik taki, bardzo dogodny do zasłonięcia światła w pokoju osoby słabej, składa się z trzech dających się



N. 8. Teka z postumentem do pism lub obrazów.



N. 6. Szufelka do śmieci.



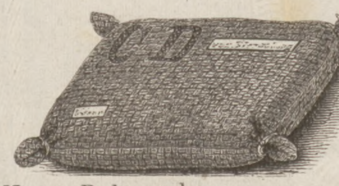
N. 7. Szczotka do mebli.



N. 9. Stoliczek z przyborami do palenia cygar, ozdobiony lambrekiną. Patrz ryc. 10.



N. 11. Klapka na muchy.



N. 12. Poduszeczka do śpilek lub jako przycisk do listów.

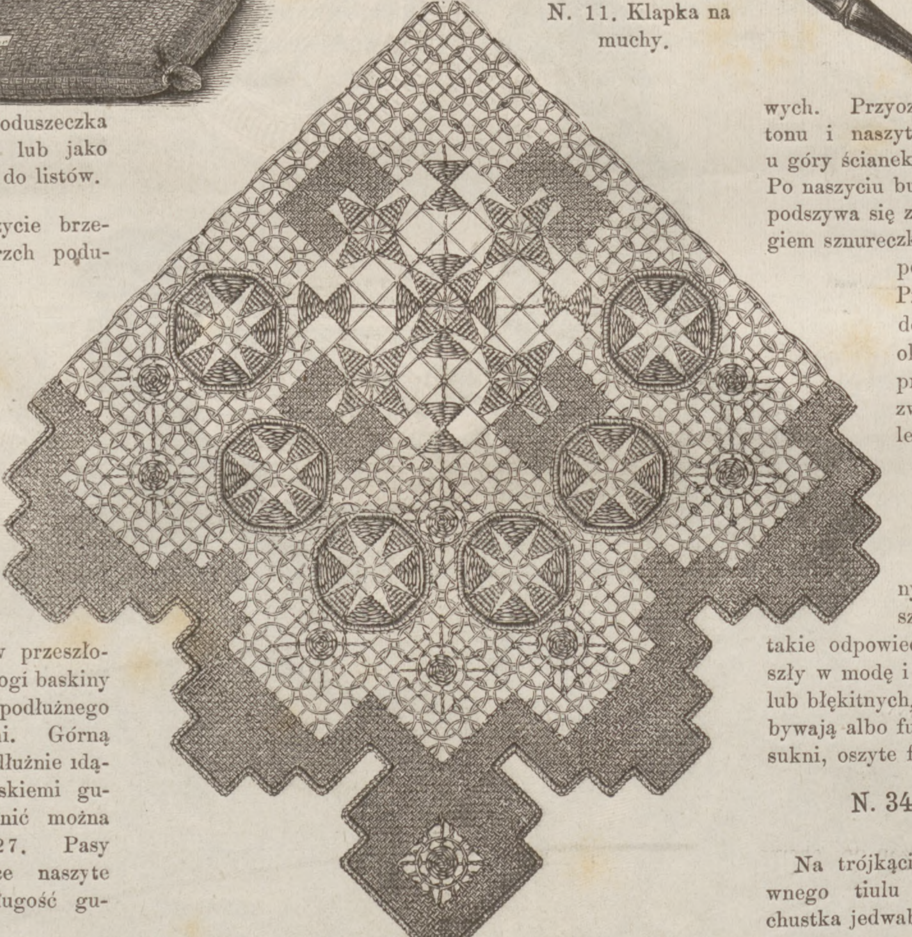
przez białe sukno wyszyta jest jedwabiem w gwiazdki zielone, pąsowe i białe.

Garnirunek z zachodzących na siebie i wycinanych w ząbki pasków sukna pąsowego i białego, ozdobionych wyszyciem z jedwabiu, przedstawiony jest na ryc. 26. Stanowi on oszycie brzegów środkowego kwadratu pokrywającego wierzch poduszki. Kwadrat ten 13 cent. długi dany jest z błękitnego atłasu, lekko podwatowanego i przepikowanego jedwabiem podług ryc. 25. Na krzyżowaniu się stębnówek wyszyte są małe gwiazdki. Na rogach kwadratu dane rozety ułożone z jedwabnego sznura.

N. 27. Stanik z baskiną i kamizelką.

Ozdobny ten stanik nadaje się do wszelkich materyjałów wełnianych lub jedwabnych, z domięszaniem ciemniejszego cieniu aksamitu lub torsady jedwabnej.

Formę dopasowywa się podług załączonych w przeszłorocznych N-rach Tygodnika Mód; w przodach rogi baskiny ścinają się krócej na kamizelkę urządzoną do podłużnego wykroju szyi, ozdobionego wyłożonemi klapkami. Górną część wykroju otacza suta kreza. Naszycia podłużnie idących pasów, przyciśniętych w końcach szmuklerskiemi guzikami, dopełnić można podług ryc. 27. Pasy przy kamizelce naszyte są przez całą długość guzikami.



N. 13. Zakończenie do krawatki siatka gipiurowa.

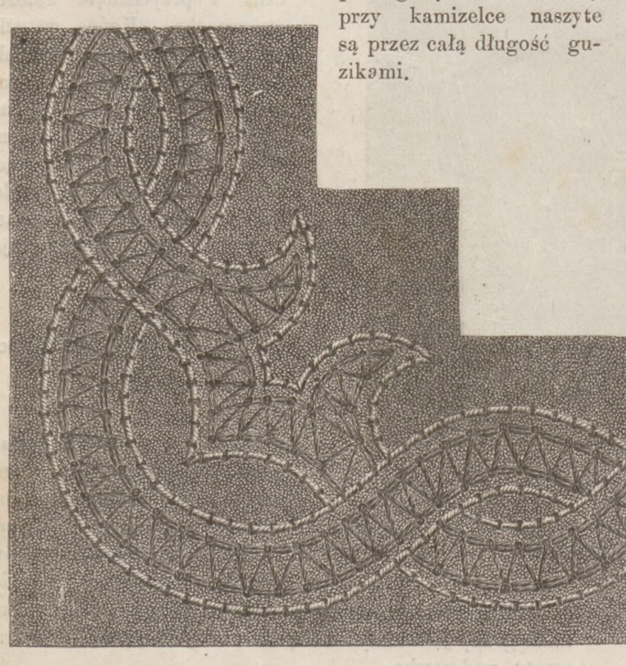
składać ścianek z białego atlasu, rozciągniętego w ramkach trzcinowych. Przyozdobienie stanowią kwiaty, wycięte z kretonu i naszyte jedwabiem. Wysokość zaokrąglonych u góry ścianek wynosi 17 cent., szerokość 11 centymetrów Po naszyciu bukietów na białym atlasie, każda ścianka podszywa się zieloną materyją; zszycie dopełnia się ściegiem sznureczkowym, jedwabiem zielonym, podwinąwszy poprzednio w środek brzegi atlasu i materyi. Przymocowanie atlasowych ścianek w ramkach, dopełnia się za pomocą złotego sznureczka, okręcanego wierzchem przez trzcinę i przeprowadzonego przez ścianki. Parawanik związuje się sznureczkiem lub składa na maleńkich zawiasach.

N. 30—33. Futrzany garnitur.

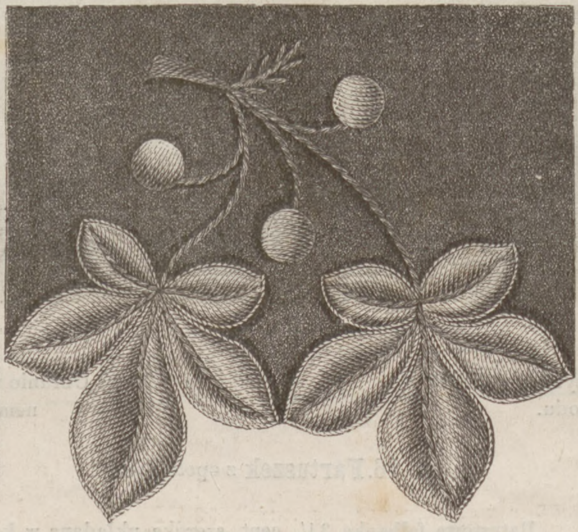
Podajemy garnitur złożony z dwóch odmiennych kołnierzy, mufki i aksamitnego kapelusza, przybranego takiemże futrem. Garnitury takie odpowiednie dla młodych osób bardzo obecnie weszły w modę i odrabiane są z luksów, lisów srebrnych lub błękitnych, z gronostai lub z piór. Kapelusz i mufka bywają albo futrzane, albo z aksamitu czy welwetu, koloru sukni, oszyte futrem.

N. 34. Kapturek z chustki kwadratowej.

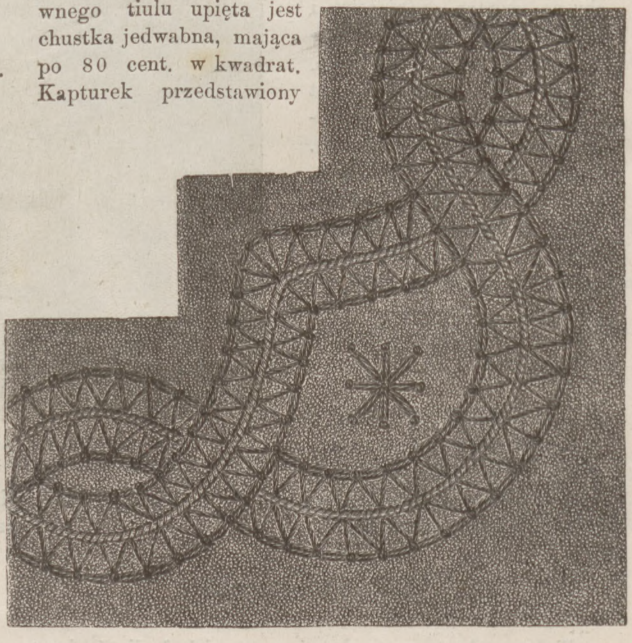
Na trójkącie ze sztywnego tiulu upięta jest chustka jedwabna, mająca po 80 cent. w kwadrat. Kapturek przedstawiony



N. 4. Narożnik wyszyty na skórze, do ryc. 3.

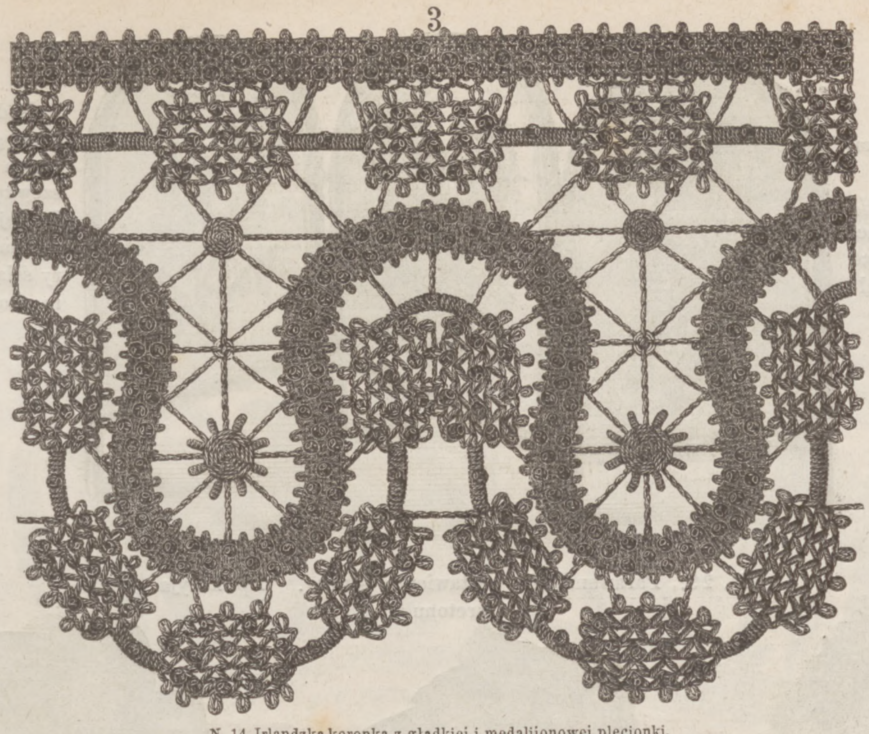


N. 10. Lambrekina do ryc. 9.



N. 5. Narożnik do teki ryc. 3 wyszyty na skórze.

na ryc. 34 ułożony jest z chustki mienionej białej z różowym zakończonej bogatą różową frendzlą, 8 cent. szeroką. Ażeby kapturek dobrze leżał a zarazem chronił głowę od przeziębienia, dodaje się od spodu małą trójkątną jedwabną chusteczkę, lekko podwatowaną i przepikowaną, którą przyszywa się



N. 14. Irlandzka koronka z gładkiej i medaljonowej plecionki.



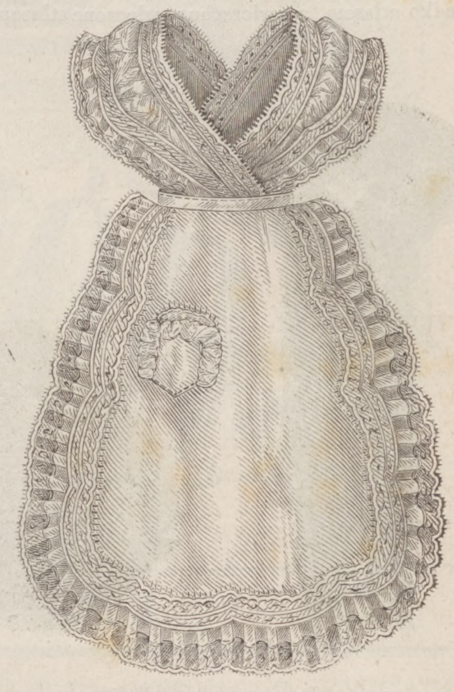
N. 15. Fartuszek z napierśnikiem.



N. 17. Płaski koszyczek do robót.

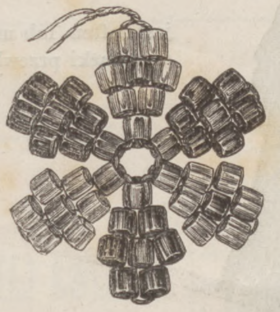
N. 37—38. Chusteczka z muślinu i koronki przybrana kokardami.

Podstawę strojnej chusteczki, przedstawionej z przodu i z tyłu na ryc. 37 i 38 przybranej suto koronką i kolorową wstążką, stanowi część tylna 18 cent. długa, 10 szeroka

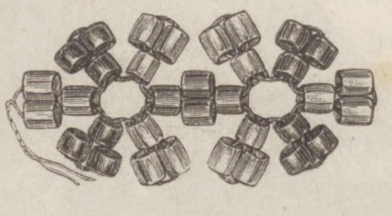


N. 16. Fartuszek z bretelkami.

do tiulowej podstawy. Chustka przeznaczona na kapturek składa się w róg na dwoje, zakłada w środku w fałdki, odwija brzeg w niezbyt szeroki wykład od twarzy i przytwierdza do podstawy. Po nad czołem dodane jest podług ryc. 34 upięcie z wstążki rypsowej różowej, 5 cent. szerokiej a 132 długiej. Końcec husteczki związują się pod szyją lub spinają różową kokardą.



N. 18. Gwiazdka do drzewka.

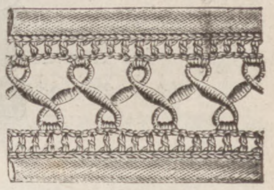


N. 20. rozetka do drzewka.



N. 19. Kółko do zawieszenia na drzewku.

i dwie części przednie krzyżujące się w pasie. W części tylnej wszyta jest koronkowa wstawka $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka; z takiejże wstawki i z pasków muślinu $4\frac{1}{2}$ cent. szerokich, ułożone są części przednie, z brzegów prostych po 57 cent. długie, od góry po 14 cent. szerokie, w końcach po 10 a w pasie $6\frac{1}{2}$ cent. szerokie. Podłużny wykrój szyi dopełniony jest sutą krezą muślinową 5 cent. szeroką, oszytą koronką $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Brzegi chusteczki oszywa 4 cent. szeroka koronka lekko nadmarszczona; takaż koronka ułożona jest w wachlarzowe fałdy i naszyta z brzegów wstawki, danej środkiem pleców. Na bogate przybranie z wstążki potrzeba 370 cent. kolorowej wstążki; na przepięcie idące od szyi wzdłuż pleców i przewiązane w pasie w kokardę, trzeba 142 cent. na każdą z dwóch kokard przy wykroju szyi po 37, a na kokardę w pasie 85 cent. wstążki.

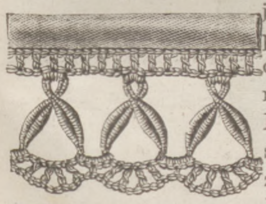


N. 22. Wstawka. Robota szydełkowa i sznureczek.

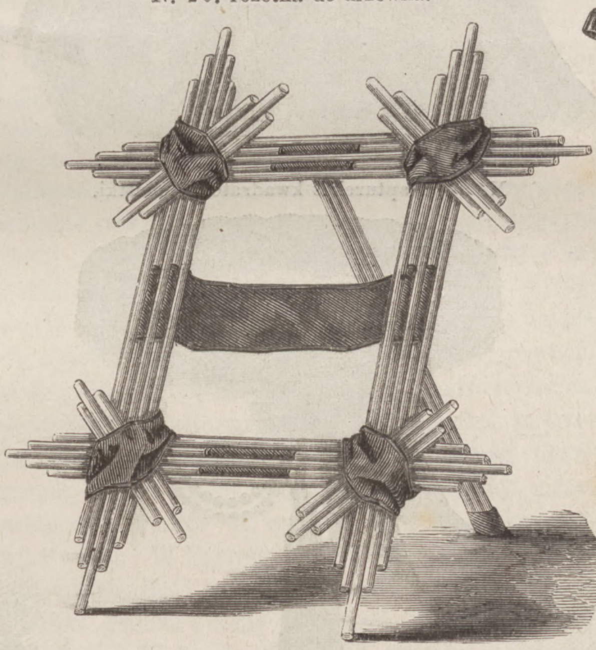
N. 35—36. Pasek z perełek.

Materyjał: czarne perełki N. 6 i 8 drucik cienki przepalony, kawałek czarnej wstążki, dwie pary haftek.

Pasek z perełek stanowiący modną nowość, pleciony jest z pięciu promieni, liczących po 3 sznureczki perełek nawleczone na drucik. Środkowy rząd stanowią większe perełki. Model przedstawia pasek 4 cent. szeroki, 60 długi upleciony z promieni po 90 cent. długich. Promienie przytwierdzają się do kawałeczka grubego i mocnego kartonu podszytego materyją, na którym następnie przyszywają się haftki, po spleceniu paska, drugi brzeg zakończa się tak samo jak poprzedni i pasek zapina na haftki. Na zapięciu dodana jest kokarda z wstążki, przepięta warkoczem i ozdobiona łańcuszkiem z kwastami, drugi koniec łańcuszka przytrzymuje agrafka z wisiadełkami, lub z haczykami, na których zawiesić można wachlarz, flakonik, lub zegarek. Rycina 36 wskazuje przyczepienie drucików z perełkami.



N. 21. Koroneczka. Robota szydełkowa i sznureczek.



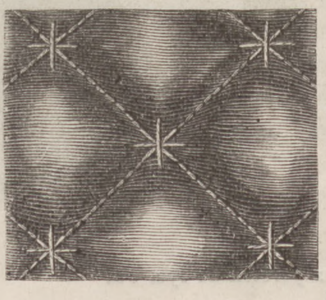
N. 23. Ramki ze słomy. Robota fantazyjna.



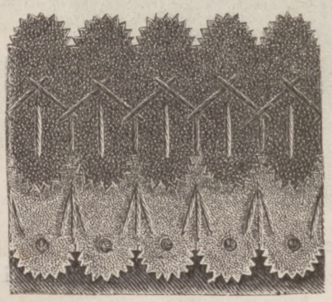
N. 24. Poduszka pod nogi. Patrz ryc. 25—26.



N. 27. Stanik z baskiną i kamizelkowem przybraniem.



N. 25. Pikowanie do poduszki ryc. 24.



N. 26. Szlak do poduszki ryc. 24.

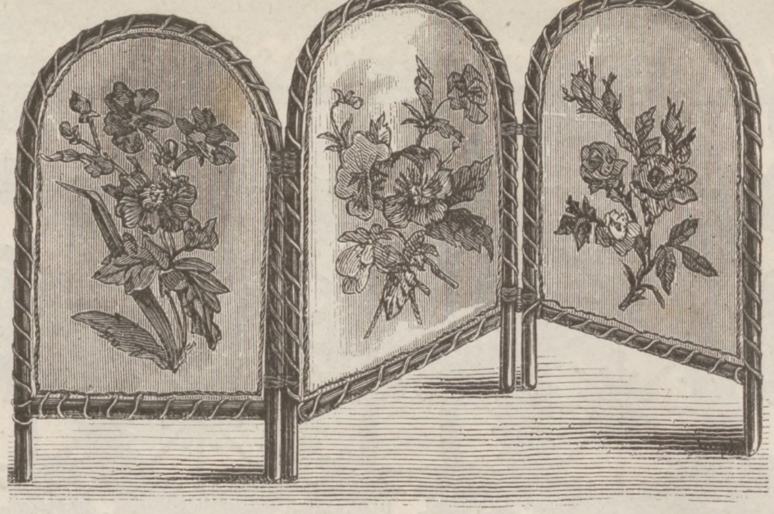


N. 28. Stanik z baskiną.

Opis do N. 4.

N. 1. Woreczek do robót ozdobiony haftem.

Obiedwie części woreczka 16 cent. długie, 7 ½ w górze 17 ½ u dołu szerokie i trochę zaokrąglone, wycięte są ze sztywnego tiulu od środka poszyte gładko atłasem, a z wierzchu powleczone atłasem fal-



N. 29. Parawanik do zastawienia świecy. Aplikacyja z kretonu.



N. 30. Kołnierzyk futrzany związany sznurem jedwabnym.



N. 31. Mufka odpowiednia do ryc. 30.

dowanym, jak to widać na ryc. 1. Połączenia obydwóch części dopełnia bufa ułożona ze skośnego kawałka atłasu 78 cent. długiego a 6 szerokiego. Zwierzchnie przyozdobienie stanowią dwie patki z białego sukna, mające z boków po 15 i 10 cent. długości, 6 u dołu, 3 cent. u góry szerokości. Deseń można wyhaftować, aplikować z kretonu lub wymalować. Po nad bufą od dołu dana jest riusza z atłasu wyciętego w zęby. Od góry do ujęcia woreczka przyszyte są sznury jedwabne.

N. 2. Woreczek ozdobiony haftem i malowaniem.

Podług ryc. 2 łatwo będzie odrobić ten woreczek; część gładka środkowa z jaśniejszej materyi podszywa się cienką tekturką poddaje od spodu podszewkę, a z brzegów oszywa jedwabnym sznurem. Do tej części środkowej dodane są boki, z ciemniejszej materyi, którą potrzeba nadmarszczyć. U góry ściąga się na elastykę. Medaljon zwierzchu woreczka wydziergany w zęby, w środku ozdobiony jest haftem lub malowaniem. Do ujęcia woreczka dodane są wstążki przewleczone przez klamrę.

(*d. c. n.*).



N. 32. Kapelusz aksamitny przybrany futerkiem.



N. 33. Kołnierzyk futrzany.



N. 34. Kapturek z kwadratowej chustki.



N. 35. Pasek pleciony z perełek Patrz ryc. 36



N. 36. Sznureczki z perełek do ryc. 35.



N. 37. Chusteczka z muślinu koronek i z wstążki. Plecy do ryc. 38.



N. 38. Chusteczka z muślinu koronek i wstążki. Przód do ryc. 37.